



MYŚLIWIEC

KRAKOWSKI

KWARTALNIK PRZYRODNICZO - ŁOWIECKI



JESIEN 2023 (37)
KRAKÓW

Łowieckie mądrości, czyli słów kilka o przysłowiach myśliwskich

Szanowne Koleżanki, Szanowni Koledzy!

Zapewne każdy z Was na swej myśliwskiej drodze spotkał się z mądrościami łowieckimi (przysłowiami), które w specyficzny sposób opisują niektórych myśliwych bądź przybliżają zachowania zwierząt. Jedne utkwiły nam w pamięci tak silnie, że na co dzień o nich pamiętamy i je przywołujemy, inne z kolei przepadły bez echa w „plątaninie naszych zwojów mózgowych”. Kto z nas nie zna tych najpopularniejszych? - „Złapać zająca”, „Wykurzyć jak lisa z nory”, „Kluczyć jak zając”, „Głupi jak zając po ponowie” czy choćby „Wywieść kogoś w pole” - które to towarzyszą nam w życiu codziennym i wielokrotnie je przywołujemy. Są też takie, którymi posługujemy się ochoczo i których sens poprawnie interpretujemy, ale dla większości (z wyjątkiem świątłych myśliwych) ich łowieckie źródło stanowi odwieczną zagadkę. Większość z nas zna powiedzenie „Wyrwał się jak filip z konopi”, ale niewielu potrafi wyjaśnić o jakiego Filipa i jakie konopie chodzi. Bo któż pamięta, że „filip” to inne określenie zająca, który w konopiach może czuć się bezpiecznie, bo w uprawie tej węż psów jest bezradny i jej ewentualne opuszczenie nie należy do pociągnięć najmądrzejszych.

W innych zakłęte są mądrości odnośnie choćby lokalizacji urzędzeń łowieckich w powiązaniu ze specyficzną biologią gatunku. Moim ulubionym jest: „Z kuropatwami prawda jest ci taka, że to budka idzie do kuropatwy na naszych chodakach”. To proste przysłowie w dobitny sposób wskazuje, gdzie lokalizować zimowe punkty dokarmiania dla kuropatw, o czym, mam wrażenie, bardzo często zapominają nasi niektórzy koledzy, którzy do tego „zadania” podchodzą w sposób schematyczny. Osobiście, dla mnie jednym z ważniejszych jest to, które przed kilkudziesięciu laty usłyszałem z ust mego dziadka Gustawa (leśnika), który na widok odstrzelonego przez zagranicznego myśliwego jelenia byka (bez cech selekcyjnych) w specyficzny sposób skrytykował podprowadzającego: - „Nie sztuka strzelić, sztuka uszanować”.

Ja stosuję tę mądrość na co dzień – a Ty?

Wasz Redaktor Naczelny



**dr hab. inż. Marek Wajdzik,
prof. URK**
leśnik, pracownik naukowy
Uniwersytetu Rolniczego
w Krakowie, wykładowca
Gospodarki łowieckiej.

BORSUK

– inżynier zbiorowisk
roślinnych

Hubert Majchrzak



fot. Ryszard Adamus

Borsuk europejski (*Meles meles* L.1758) zwany często jaźwcem, jest największym przedstawicielem z rodziny łasicowatych (Mustelidae) w Polsce. Jest on gatunkiem terytorialnym, grupa rodzinna zajmuje obszar, na terenie którego (zazwyczaj w centralnym punkcie) lokalizuje nory główne. Ruja u borsuków, według najnowszych danych, ma miejsce dwukrotnie w roku. Pierwsza zasadnicza między lipcem a wrze-

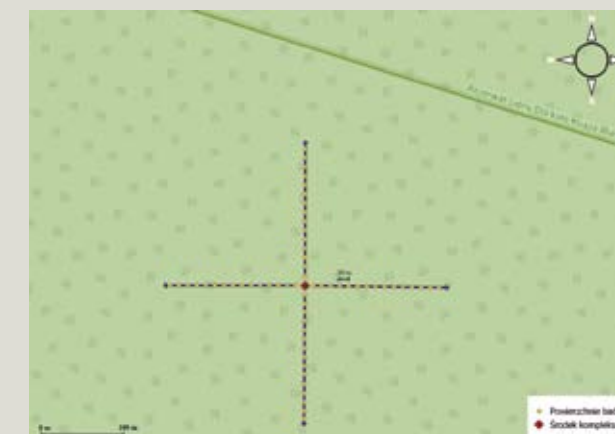
śniem, a druga na wiosnę w okresie poporodowym. Jaźwiec jest gatunkiem poliandrycznym, to znaczy, że samica może kopolować i mieć potomstwo z kilkoma samcami. Dodatkowo u borsuków występuje ciąża przedłużona, a młode najczęściej przychodzą na świat w lutym i marcu. Według najnowszych badań u samic tego gatunku może występować zjawisko podwójnej ciąży, tzw. superfetacji. Na podstawie informacji

z rocznych planów łowieckich krajowa populacja borsuka od końcówki lat 90 XX wieku systematycznie rośnie. Obecnie (10.03.2022 r.) liczebność tego ssaka na obszarze całej Polski szacowana jest na 61320 osobników. Stosunkowo wysokie zagęszczenie (3,16 os./1000 ha) jaźwiec osiąga na terenie ZO PZŁ w Krakowie. Mimo tego, że borsuk jest tak pospolitym gatunkiem, to

zainteresowanie łowieckie jest zróżnicowane w poszczególnych regionach Polski. Dodatkowo brak jest szerszych opracowań na temat jego potencjalnego wpływu na środowiska leśne. Dlatego celem niniejszej pracy było dokonanie oceny i przybliżenie potencjalnej roli borsuka w kształtowaniu bioróżnorodności fitocenozy (zbiorowisk roślinnych) za pomocą wskaźnika Shannona – Wienera, który osiąga największe wartości tam, gdzie występuje najwięcej gatunków i ich udział jest najbardziej równomierny. Szczegółowej analizie poddano zmiany zróżnicowania gatunkowego roślinności w obrębie nor (ryc.1).

Badania przeprowadzono na różnych siedliskach, w ośmiu lokalizacjach na terenie województwa małopolskiego (ryc.2).

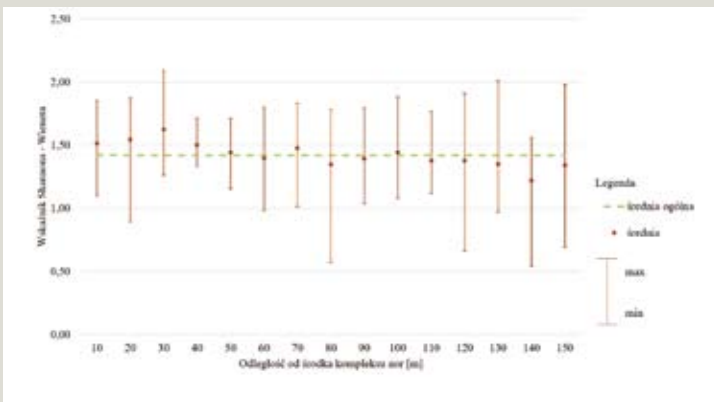
Przy wyborze miejsc do przeprowadzenia badań uwzględniono zróżnicowanie siedlisk, dlatego powierzchnie nr 1 i 2 zlokalizowano w obwodzie polnym na siedlisku lasu wyżynnego świeżego (Lwyżów). Powierzchnie nr 3 i 4 znajdowały się na terenie o wysokiej antropo-



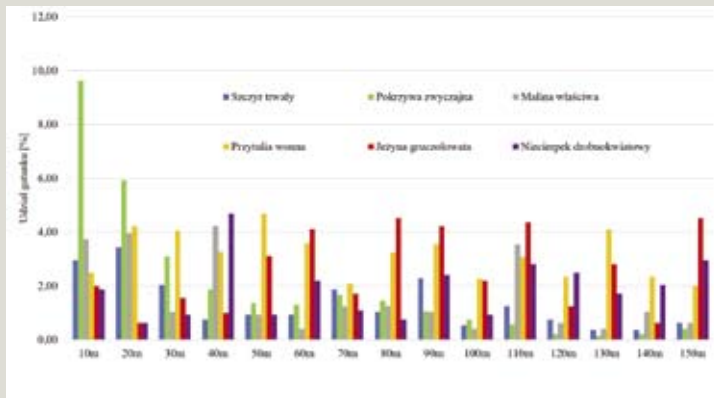
Rycina 1. Schemat ulokowania powierzchni próbnych na przykładzie lokalizacji nr 7



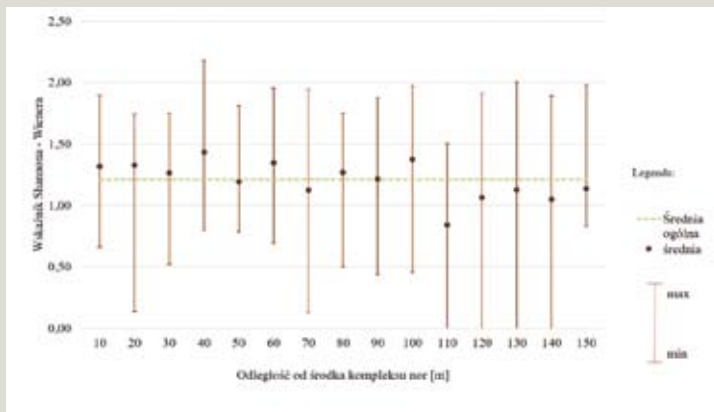
Rycina 2. Lokalizacje powierzchni badawczych



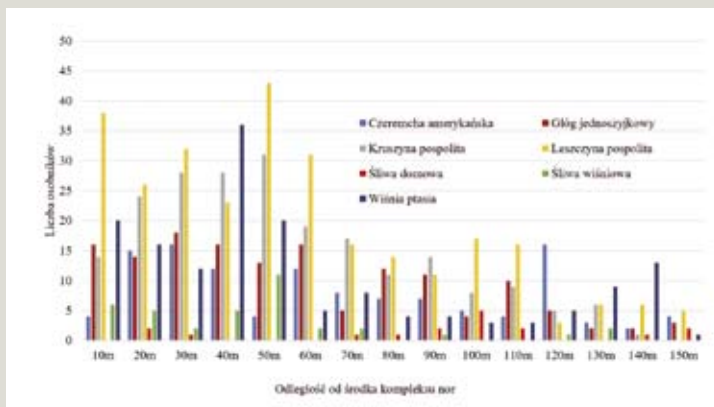
Rycina 3. Wskaźnik bioróżnorodności (Shannon – Wienera) dla roślinności runaw poszczególnych odległościach od środka kompleksu nor



Rycina 4. Średni stopień pokrycia runa przez wybrane gatunki w różnych odległościach od środka kompleksu nor



Rycina 5. Średnia wartość wskaźnika bioróżnorodności (Shannon – Wienera) dla podrozu i podszytu w poszczególnych odległościach od środka kompleksu nor



Rycina 6. Średnia liczebność wybranych gatunków drzew i krzewów w różnych odległościach od środka kompleksu nor

presji, w granicach administracyjnych miasta Krakowa. Lokalizacja nr 5 znajdowała się w Puszczy Niepołomickiej na siedlisku boru mieszanego wilgotnego (BMw). Powierzchnie nr 6 i 7 zlokalizowane były w kompleksie leśnym na siedlisku lasu wyżynnego świeżego (Lwyżśw), a w ich pobliżu dominował krajobraz zagospodarowany rolniczo. Ostatnie badania przeprowadzono w Beskidzie Sądeckim, na siedlisku lasu górskiego świeżego (LGśw). Według przeprowadzonych inwentaryzacji, największe wartości zróżnicowania gatunkowego runa odnotowano w bliższych odległościach od środka kompleksu nor (ryc.3).

Na zinwentaryzowanych powierzchniach największy udział miały: marzanka wonna (*Galium odoratum*), jeżyna gruczołowata (*Rubus hirtus*) i pokrzywa zwyczajna (*Urtica dioica*) (ryc.4).

W warstwie podszytu i podrozu najmniejsze wartości wskaźnik Shannon – Wienera osiągał na powierzchniach leżących powyżej 100 m od środka terenu badań (ryc.5).

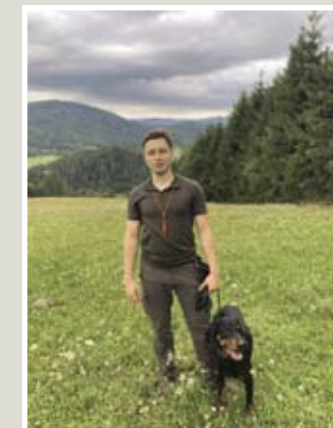
Na podstawie przeprowadzonej inwentaryzacji zestawiono wybrane gatunki drzew i krzewów, które należą do diety borsuka europejskiego. Ich frekwencja spadała wraz ze wzrostem odległości od środka terenu badań (ryc.6).

Analiza zebranych danych wskazuje na to, że borsuki europejskie w znaczący sposób oddziałują na skład gatunkowy roślinności. Dzieje się tak głównie przez zaburzenia, które jażwce powodują przez kopanie rozległych kompleksów nor i mieszanie wierzchnich warstw gleby. W mniejszym, lecz znaczącym stopniu ten przedstawiciel łańcuchowatych przez zoochorię (przemieszczanie nasion roślinnych) pomaga rozprzestrzeniać się niektórym gatunkom roślin. Teren intensywnie wykorzystywany przez jażwce cechuje się wyższym trofizmem (żywnością) niż powierzchnie zlokalizowane poza kompleksem nor. Fakt ten wyjaśnia dużą frekwencję gatunków nitrofilnych np. pokrzywy zwyczajnej (*Urtica dioica*). Dodatkowo wykazano, że przez ich działalność zwiększa się bioróżnorodność gatunkowa w pobliżu nor. Efektywność tego zjawiska jest mniejsza na siedliskach



fot. Ryszard Adamus

uboższych. Aktywne kompleksy nor wpływają pozytywnie na zwiększenie różnorodności gatunkowej roślin, której zachowanie w obecnych czasach zyskuje na znaczeniu. Dlatego warto poddać dyskusji czy takie miejsca nie powinny uzyskać charakteru ochronnego i być uwzględniane jako powierzchnie wyłączone np. z użytkowania gospodarki leśnej. W celu uszczegółowienia i poznania zależności pomiędzy występowaniem poszczególnych gatunków roślin, a aktywnością borsuków w Polsce, należałoby przeprowadzić szereg badań i szczegółowych analiz glebowych oraz uzyskać dane o diecie tego gatunku w różnych miejscach występowania.



Hubert Majchrzak
Absolwent Wydziału Leśnego Uniwersytetu Rolniczego w Krakowie, członek koła łowieckiego „Jaworzyna” w Muszynie

Korzystanie z lizawek solnych przez różne gatunki kanadyjskich zwierząt

Paweł Kąkol



Wstęp

Sole mineralne są niezbędnym elementem pozwalającym na prawidłowe funkcjonowanie organizmów żywych, a wielkość dziennego zapotrzebowania na te składniki w przypadku zwierząt znacznie różni się w zależności od gatunku. Jedną z soli mineralnych, na które organizm zwierząt wykazuje największe zapotrzebowanie jest chlorek sodu (NaCl). Wielokrotnie wykazano, że związek ten jest pobierany z większą chęcią, niż inne minerały, dlatego duże znaczenie ma jego dostarczenie za pomocą suplementacji. Powszechną praktyką związaną z prowadzeniem gospodarki łowieckiej, szczególnie w północnej Europie oraz części Ameryki Północnej jest zapewnianie dziko żyjącym zwierzętom antropogenicznych miejsc uzupełniania soli mineralnych w postaci urządzeń łowieckich zwanych lizawkami, które umożliwiają zwierzętom samodzielne pobieranie soli w zależności od bieżącego zapotrzebowania. Badania przeprowadzone przy użyciu fotonapędzanych kamer w latach 2012–2021 w prowincji Ontario na terenie Kanady miały na celu określenie składu gatunkowego kanadyjskich zwierząt korzystających

z przygotowanych przez człowieka lizawek oraz wykazanie różnic w dobowym i sezonowym wykorzystaniu miejsc wykładania soli przez poszczególne gatunki.

Kanadyjskie lasy

Nie ma chyba myśliwego, którego nie pociągałyby opowieści o dzikiej przyrodzie Kanady, która będąc drugim co do wielkości państwem świata, jest niemal w połowie (45%) pokryta lasami. Ogromne bogactwo gatunkowe zwierząt kraj ten zawdzięcza występowaniu wielu różnorodnych ekosystemów, począwszy od wilgotnych lasów nabrzeżnej Kolumbii Brytyjskiej, poprzez suche, wyżynne prerie Zachodniej Kanady, aż po tundrę oraz arktyczne obszary obejmujące Północną Kanadę. Małe zagęszczenie ludności, dużo niedostępnych terenów oraz nieprzebrane, w dużej mierze nieskalane ręką człowieka lasy, obejmujące obszar czternastokrotnie większy od Polski, stwarzają doskonałe warunki dla wielu gatunków zwierząt, bardzo często niespotykanych w innych rejonach świata. Dominującym typem lasów na terenie Kanady są drzewostany iglaste, obejmujące swym

zasięgiem ok. 68% powierzchni leśnej. Znacznie mniejszy obszar zajmują drzewostany mieszane (ok. 16%), natomiast udział drzewostanów liściastych wynosi około 10,5%. Pozostałą powierzchnię zajmują obszary czasowo niezalesione. Charakterystyczne dla obszaru Kanady jest duże zróżnicowanie gatunkowe drzew, co potwierdza występowanie na obszarze kraju około 140 rodzimych gatunków lasotwórczych.

Zwierzęta przy lizawkach

W całym okresie prowadzenia badań stwierdzono w pobliżu lizawek 11 gatunków zwierząt należących do 9 rodzin.

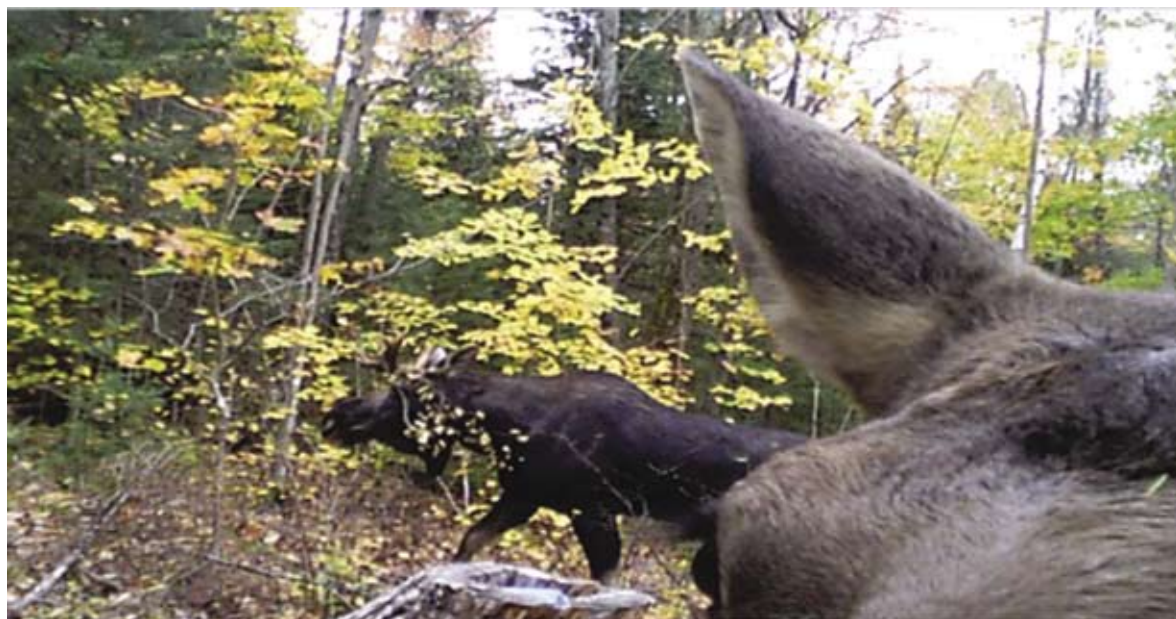
Najliczniej rejestrowane były ssaki parzystokopytne reprezentowane przez jelenia wirginijskiego – niespełna 70%, łosia – 0,21% oraz wapiti (0,04%). Spośród ssaków drapieżnych najczęściej obserwowanymi gatunkami były szop pracz (9,71%) oraz lis (3,89%), natomiast znacznie rzadziej rejestrowano niedźwiedzia czarnego (1,51%), wilka szarego (0,75%) oraz kunę rybożerną (0,59%). Rząd gryzoni reprezentowały urson amerykański (2,68%) oraz rodzina wiewiórkowatych, której przedstawiciele stwierdzono na 6,11% wszystkich rekordów. Wśród gryzoni jedna obserwacja dotyczyła także świstaka amerykańskiego (0,04%). Ptaki reprezentował indyk dziki należący do rzędu grzebiących, którego obserwacje stanowiły 4,02% ogółu. W pobliżu lizawek odnotowano także przedstawicieli rodziny zajacowatych. Zdarzenia z ich udziałem stanowiły 0,50% całego materiału.

Gatunkiem najczęściej korzystającym z liza-

wek był jeleni wirginijski, zwany też mulakiem białogonowym. Jest on jednym z najważniejszych gatunków zwierząt łownych na obszarze Ameryki Północnej. Cechuje się znacznie mniejszymi rozmiarami ciała niż występujący w naszym kraju jeleni szlachetny, a samce tego gatunku posiadają charakterystyczne, wygięte do przodu poroże i większą część roku spędzają samotnie. Z kolei samice, razem ze swoim potomstwem żyją w niewielkich stadach. Jeleni wirginijski najczęściej pobierał sól z lizawek wiosną i latem, co z pewnością wiąże się z trwającym wtedy u samców wzrostem nowego poroża, natomiast w przypadku samic z występującą w tym okresie laktacją i karmieniem młodych mlekiem o wysokiej zawartości sodu, co powoduje zwiększone zapotrzebowanie na ten pierwiastek. Okresem zwiększonej aktywności tych zwierząt był także wrzesień i październik, czego przyczyną mogła być migracja w poszukiwaniu partnerów do rozrodu z dotychczas zajmowanego obszaru na tereny bardziej odległe. Szczyt aktywności dobowej mulaków przypadał natomiast na zmierzch i godziny nocne, kiedy to zaobserwowano w pobliżu lizawek przeważającą liczbę osobników.

Kolejnym przedstawicielem rodziny jeleniowatych obserwowanym w pobliżu lizawek był łoś. Kanadyjskie łosie znane są z nakładania ogromnych rozmiarów rosoch, niespotykanych u byków występujących w naszym kraju. Najczęściej można je spotkać na terenach podmokłych, bagnach i torfowiskach, gdzie chętnie żerują na roślinności wodnej. Przed nadejściem





WILDVIEW 11-11-2017 15:49:53

zimy łosie przenoszą się w wyżej położone tereny, do lasów iglastych, gdzie żywią się korą oraz pędami drzew i krzewów. Łosie najczęściej pobierały sól jesienią, w okresie bukowiska trwającego, w przypadku tego gatunku, najczęściej od połowy września do połowy października. Co ciekawe, zdecydowana większość osobników (60%) wykazywała aktywność dzienną, natomiast znacznie rzadziej łosie były obserwowane w innych porach doby.

Jednym z najbardziej niezwykłych zwierząt występujących w kanadyjskich lasach, które często było rejestrowane w pobliżu, a nawet na lizawkach, był urson amerykański. Gatunek ten prowadzi nadrzewny tryb życia, a jego ciało pokryte jest ostrymi kolcami, stanowiącymi doskonałą ochronę przed drapieżnikami. Zwierzęta te najczęściej notowane były wiosną, szczególnie w maju. Zwiększona aktywność w tym okresie wiąże się z intensywnym poszukiwaniem pokarmu bogatego w składniki mineralne takie jak sód i potas, w które wiosną bogate są pąki, lyko oraz igły drzew szpilkowych. Ursony prowadzą nocny i samotniczy tryb życia, jedynie zimą zdarza się, że kilka osobników chroni się przed niesprzyjającymi warunkami w jednej kryjówce – zwierzęta te bowiem nie zapadają w sen zimowy, ale spędzają okres chłodu w skalnych norach. W tym też okresie ursony mogą zwiększać liczbę aktywności w ciągu dnia, opuszczając nory w poszukiwaniu pożywienia.

Ciekawym gatunkiem, który wielokrotnie był obserwowany w pobliżu miejsc wykładania soli był indyk zwyczajny, zwany też dzikim. Jest to jeden z największych i najbardziej rozpo-

wszechnionych ptaków Ameryki Północnej, zamieszkujący przeważnie lasy mieszane. Dymorfizm płciowy u tych ptaków jest wyraźnie zaznaczony – samce są znacznie większe i bardziej masywne od samic, a ich waga może przekraczać 10 kg. Indyki żywią się głównie pokarmem roślinnym w postaci nasion, liści, pąków i korzeni, chociaż chętnie uzupełniają też dietę pokarmem zwierzęcym. Zimą natomiast podstawę diety stanowią żołędzie i orzeszki bukowe. Obserwacje sposobu uzupełniania niedoborów związków mineralnych przez te ptaki, opisywane już wielokrotnie w literaturze, wykazały występowanie u nich zjawiska geofagii, czyli instynktowego pobierania minerałów pod postacią gleby bogatej w te związki, co w przypadku naszej rodzimej awifauny było obserwowane m. in. u gołębi grzywaczy. Indyki były obserwowane w pobliżu lizawek głównie zimą, kiedy to prowadzą bardziej osiadły tryb życia. Kolejnym okresem pod względem liczby stwierdzeń był okres lęgowy trwający, w zależności od panujących w danym roku warunków pogodowych, od kwietnia do sierpnia, chociaż pierwsze gniazda w postaci płytkich zagłębień w ziemi ukrytych w gęstej roślinności mogą zostać założone przez samice już w marcu. Indyki prowadzą dzienny tryb życia, natomiast noc spędzając na drzewach w grupach składających się z kilku osobników.

Lizawki były też często odwiedzane przez przedstawicieli rodziny zającowatych i wiewiórkowatych, które często zlizywały sól, wymywaną na skutek opadów atmosferycznych do gleby, przez co składniki mineralne stawały się łatwo



Bushnell 4F-15 °C 01-31-2017 23:41:12



Bushnell 50 F10 °C 08-26-2016 16:45:14



Bushnell CameraName 55 F12 °C 06-21-2020 01:31:25

dostępne i możliwe do pobrania. Ponadto wielu badaczy wielokrotnie obserwowało, że gatunki należące do tych rodzin często w okresie zimowym odwiedzają pobocza dróg w poszukiwaniu soli używanej zimą do posypywania nawierzchni drogowych, a nawet zgryzają zaimpregnowane solą drewniane kołki.

Interesujące jest stwierdzenie dużej penetracji miejsc wykładania soli przez ssaki drapieżne. Ich obserwacje stanowiły około 16% wszystkich rejestracji zwierząt. Ponieważ fotografie wykonane przez fotopułapki uwieczniły zwierzęta najczęściej przemieszczające się lub znajdujące się w takiej pozycji, że nie zawsze możliwe było jednoznaczne stwierdzenie, czy pobierały one sól aktywnie, czy też nie, toteż można przyjąć dwie hipotezy. Albo w poszukiwaniu składników mineralnych faktycznie przychodziły do specjalnie przygotowanych lizawek, albo też powierzchniowo badawcze znajdowały się na trasie ich codziennych wędrówek.

Najczęściej rejestrowanym w pobliżu lizawek gatunkiem drapieżnika okazał się szop pracz, którego udział wśród wszystkich rejestracji zwierząt sięgał prawie 10%. W samej tylko prowincji Ontario populację szopów szacuje się na około milion osobników, co często doprowadza do konfliktów z ludźmi, począwszy od niszczenia ogrodów, po uszkodzenia budynków i przenoszenie chorób. Szopy prowadzą głównie nocny tryb życia, a okres rozrodczy tych zwierząt w większości zasięgu trwa od stycznia do marca. Gatunek ten obecnie znacznie rozprzestrzenił się poza swój pierwotny zasięg występowania, o czym świadczy jego coraz liczniejsze występowanie w krajach europejskich, m. in. we Francji i Niemczech, a od wielu już lat także na obszarze Polski.

Drapieżnikiem, który wielokrotnie w sposób aktywny pobierał sól wyłożoną w lizawkach, poprzez lizanie kostki solnej znajdującej się na szczycie lizawki lub zlizywanie nacieków solnych w pobliżu otworów naciętych na pobocznicy wydrążonego pnia był niedźwiedź czarny, zwany baribalem. Gatunek ten jest mniejszy od niedźwiedzia brunatnego oraz znacznie łatwiej przystosowuje się także do antropogenicznych zmian w środowisku, co nierzadko powoduje konflikty z miejscową ludnością. Bardzo często można go obserwować nie tylko nocą, ale także za dnia, szczególnie w okresie jesiennym, kiedy intensywnie poszukuje wysokokalorycznego pokarmu. Wtedy też łatwo można go spotkać w pobliżu gospodarstw lub składowisk odpadów, gdzie żeruje na resztkach pozostawionych przez ludzi. Najwięcej obserwacji niedźwiedzi



STEALTHCAM 06:48AM 08/08/17 12C STEALTH CAM



STEALTHCAM 07:03PM 04/21/18 20C STEALTH CAM



STEALTHCAM 02:02PM 11/30/2019 -10C STEALTH CAM

(ok. 78%) przypadało na okres lata, a szczyt aktywności baribali w tym okresie spowodowany mógł być trwającym od czerwca do lipca okresem godowym, podczas którego niedźwiedzie znacznie zwiększają odległości swych wędrówek w poszukiwaniu partnera.

Innym gatunkiem dużego drapieżnika rejestrowanego przez fotonapastki był wilk, który wykazywał głównie aktywność nocną. Większość zarejestrowanych przez fotonapastki wilków jedynie przechodziła przez powierzchnię badawczą, natomiast jedna z obserwacji dotyczyła osobnika, który wskoczył na lizawkę korytkową, co pozwala wnioskować, że odwiedzanie takich miejsc przez wilki może wiązać się z większym prawdopodobieństwem napotkania ich ofiar, którymi na terenie Kanady są głównie jelenie wirginijskie.

Podobnie jak w przypadku wilka, większość obserwacji lisów i kun dotyczyła osobników wyłącznie przemieszczających się po powierzchni badawczej. Zaobserwowano także kilka zdarzeń, podczas których drapieżniki te wskakiwały na lizawkę, a następnie oddawały na niej kał. Zjawisko to było już opisywane w literaturze i polega na pozostawianiu znaków terytorialnych w postaci odchodów i moczu w wyróżniających się miejscach widocznych dla innych osobników, w tym przypadku na szczycie lizawki.

Podsumowanie

W przypadku dzikich zwierząt ilość minerałów pobierana wraz z pokarmem nie zawsze jest wystarczająca, aby w pełni zaspokoić codzienne zapotrzebowanie organizmu na poszczegól-

ne mikro- i makroelementy, dlatego zwierzęta bardzo często poszukują miejsc, w których mogłyby uzupełnić brakujące pierwiastki. Najczęściej stosowana metoda dostarczania dzikim zwierzętom soli mineralnych, czyli wykładanie bloków solnych w urządzeniach łowieckich zwanych lizawkami, pozwala na uzupełnianie niedoborów w zależności od biologii i ekologii poszczególnych gatunków, a także okresów fizjologicznych, takich jak ciąża i odchów potomstwa. Okazuje się więc, że powszechnie znane z naszych łowisk lizawki są także chętnie wykorzystywane w kanadyjskiej gospodarce łowieckiej, a nawet służą do badania behawioru i aktywności zwierząt zamieszkujących Amerykę Północną.



mgr inż. Paweł Kąkol
Absolwent Wydziału Leśnego Uniwersytetu Rolniczego w Krakowie, technik weterynarii, członek i sekretarz KŁ „Wierchy” w Milówce, interesuje się biologią i ekologią zwierząt dziko żyjących

O szkoleniu psów myśliwskich słów kilka

Ewa Dobrzyńska-Lankosz



Szkolenie psów myśliwskich – temat rzeka, wielokrotnie pojawiający się w czasopiśmie specjalistycznych, mediach społecznościowych, gdzie prezentowane są różne metody oraz formy szkolenia. Coraz częściej spotykamy się z metodami pozytywnej motywacji psów do wykonywania zadań, co skutkuje tym, że może nie zawsze pies pracuje jak przysłowiowa maszyna, za to z radością. Metody „par force” odchodzą do lamusa, choć spotyka się jeszcze szkoleniowców, którzy takie podejście do szkolenia psa preferują. Mój kolega zawsze mi powtarza „nie krzycz na psa, nie denerwuj się,

nawiąż z psem kontakt emocjonalny, musisz się z psem dogadać; wówczas będą efekty”.

A jakie spotykamy formy szkoleń? Niektórzy zagonieni, zapracowani, uważający, że nie podążają zadaniu myśliwi, oddają psa na określony okres w ręce osób, zajmujących się szkoleniem zawodowo. Czasem jednak świetnie wyszkolony przez fachowca pies po powrocie do domu nagle „zapomina”, czego się nauczył. Wiele artykułów na ten temat można znaleźć na przykład w Braci Łowieckiej, gdzie na ten problem uwagę zwracali między innymi Cezary Marchwicki czy Jerzy Woźniak. Zdarza się tak

wówczas, gdy właściciel, po odebraniu psa, nie potrafi nawiązać ze swoim psem odpowiedniej relacji, komendy wydaje w sposób niewłaściwy (nie tak, jak pies został nauczony przez szkoleniowca) i pies nie rozumie, o co jego panu chodzi. Potwierdza to w październikowym numerze BŁ Tomasz Wasilewski (BŁ, 10/2023, s.64-67), który pisze, że „... szkoleń sam. Nie oddaję moich psów innym myśliwym, bo niezwykle ważne jest nawiązanie więzi emocjonalnej. Muszą budować partnerstwo i wzajemne zaufanie”.

Dlatego część osób wybiera inną formę szkolenia

– szkoli się razem ze swoim psem. Od wielu lat organizowane są takie szkolenia, na ogół grupowe, dla psów i ich właścicieli. Wówczas pod okiem fachowca poszczególni mENERZY uczą się wraz ze swoimi podopiecznymi. Potem nie pozostaje nic innego, jak utrwalac nabyte umiejętności w domu.

Ostatnio sporo ośrodków (komisje kynologiczne, koła łowieckie) organizuje jedno czy dwudniowe warsztaty. Niektóre z nich są ukierunkowane na konkretne rasy i specjalizacje. Ważne, by takie warsztaty, podczas których zamierza się przekazać zarówno wiedzę teoretyczną jak i praktyczną, nie miały zbyt wielu uczestników. Gdy czytamy zapowiedź warsztatów, na które można zgłaszać przeróżne rasy od sasa do lasa, a program obejmuje bardzo dużo zagadnień, dajmy sobie z takimi warsztatami spokój, bo niczego się na nich ani nasz pies, ani my nie nauczymy. Natomiast warsztaty w niewielkim gronie, ukierunkowane na kilka konkretnych zadań warte są polecenia. Warto też dowiedzieć się, kto zajęcia będzie prowadzić.

Sama wiele lat temu korzystałam z takich jednodniowych szkoleń, organizowanych w okresie wakacji, gdzie był czas zarówno na podstawy apelu, jak i przeciwienie konkurencji konkursowych (konkursy wielostronne dla wyzłów i płochaczy). Niezwykle cenne były też wieczorne rozmowy przy wspólnej kolacji, które oczywiście „kręciły się” wokół kynologii. Bardzo cenię sobie kilkudniowe szkolenia wyjazdowe w nielicznym gronie (optymalnie 4 przewodników i 4 psy). Jest wówczas czas na dogłębne przeciwienie poszczególnych konkurencji, a nasz trener ma wystarczającą ilość czasu, by do każdego psa podejść indywidualnie, omówić mocne i słabe strony psa i jego przewodnika. Wracając po takim szkoleniu do domu wiem, jakie mamy braki, na co muszę zwracać uwagę. Takie spotkania poza domem, gdy człowiek może się skoncentrować wyłącznie na pracy z psem, zapomnieć o garach i innych domowych obowiązkach, są wyjątkowo efektywne.

Pamiętam też swoje początki pracy z psami. Miałam wówczas płochacze (springer spaniele angielskie) i tak się szczęśliwie złożyło, że poznałam hodowców springerów, którym na sercu leżała popularyzacja użyteczności tej rasy. Przez kilka lat spotykaliśmy się, zapraszając innych właścicieli płochaczy i przekazywaliśmy im wiedzę teoretyczną, ale przede wszystkim praktyczną na temat użyteczności tej rasy. Udało się nam nawet uzyskać wsparcie PZŁ, który co roku przekazywał dla uczestników drobne, ale



jakże miłe naszym sercom, gadzety. To właśnie podczas tych spotkań ostatecznie wyklarowała się moja decyzja, by zostać myśliwym.

Ogromną siłę przekazu mają media społecznościowe, gdzie wiele osób dzieli się swoimi metodami pracy z psami, pokazuje rezultaty tej pracy. Oczywiście do takich filmików zawsze trzeba podchodzić z pewną dozą krytycyzmu, jak do wszystkich innych treści internetu, niemniej uważam, że zawsze można coś ciekawego podpatrzeć i próbować zastosować.

Wiele w sieci, na youtube, jest też filmików, między innymi z różnych konkursów w Czechach. Niewątpliwie takie filmiki dają pewne wyobrażenie o tym, jak te czeskie konkursy wyglądają. Z powodu zastoju w zakresie organizacji w Polsce konkursów kynologicznych z zakresu użyteczności (miejmy nadzieję, że tylko chwilowego), wiele osób w tym roku startowało w imprezach właśnie u naszych południowych sąsiadów.

Z ciekawą inicjatywą wystąpił w tym roku także kolega, od wielu lat zawodowo zajmujący się szkoleniem psów myśliwskich, kilkakrotny uczestnik czeskich konkursów. Zorganizował mianowicie webinar na temat imprez kynologicznych w Czechach, podczas którego przybliżył uczestnikom spotkania tamtejsze regulaminy, chcąc nas przekonać, że nie taki diabeł straszny.

Jest jeszcze jedna forma szkolenia, którą polecam – swego rodzaju samokształceniu w grupie. Wiadomo, że do przeciwiczenia niektórych konkurencji dobrze jest mieć wsparcie ze

strony drugiej osoby (choćby pociągnięcie włóczki, by nie pozostawał na niej zapach przewodnika danego psa), dlatego od czasu do czasu organizujemy sobie też wspólne spotkania w dwie – cztery osoby z psami.

Ostatnio spotkaliśmy się wraz z naszymi wyłami w październiku. Ćwiczyły trzy psy (jeden anglik i dwa kontynenty) i trzech przewodników. Psy miały za zadanie pójść po włóczce zająca (powypadkowy, znaleziony przy drodze) i bażanta. Było też poszukiwanie zagubionej zwierzyny (dohledawka) i aport kuny. Z kuną nasze psy miały trochę problemu. Nie przywykłe do jej zapachu niechętnie, z wielkim ociąganiem, aport kuny podjęły. Jak mówią starzy, doświadczeni mernerzy – pies ma aportować wszystko. Zatem trzeba psu urozmaicać ćwiczenia, nie ograniczając się jedynie do koguta bażanta (dzikusza czy hodowlanego), zająca, królika, lisa czy kaczki.

Na zakończenie naszych wspólnych październikowych ćwiczeń przeszliśmy do konkurencji wodnej – aportu kaczki z głębokiej wody z pełną procedurą konkursową (odłożenie, strzał i rzucenie kaczki, posłanie psa po aport na komendę). Jako że mieliśmy dostęp do rzeki (szer. ok. 4 – 6 m), a nie stawu czy jeziora, przeciwiczyliśmy także przynoszenie aportu kaczki z drugiego brzegu. Dla nas ta umiejętność psa jest bardzo ważna, bowiem polowania na kaczki w naszym kole odbywają się nad rzeką i nieraz się zdarza, że kaczka czy postrzałek kaczki spadnie na drugi brzeg.

Początki nauki aportowania kaczki były dosyć zabawne. Na kartach historii zapisało się

aportowanie kaczki przez moją koleżankę po strzelbie. A było to tak. Wybrałyśmy się we dwie na polowanie na kaczki. Moja doświadczona suka, springerka, po zabiegu sterylizacji musiała pozostać w domu. Anka zabrała swojego młodzieńczego małego münsterlandera, który już wcześniej kaczki z wody, w ramach ćwiczeń, aportował. Ale nie tym razem ... Otóż postrzałek strzelonej przeze mnie kaczki (nie posiadający jeszcze zapachu ludzkiej ręki) padł na lustro wody. Anka posłała psa, który kilka razy dopływał do kaczki, chwycił ją i wypuszczał. Nasze nawoływania, by wziął i przyniósł aport na nic się zdały. Szczęśliwie nurt w tej części rzeki był spokojny. Tak przeszliśmy brzegiem ze 100 metrów i ostatecznie Anka, nauczona, że postrzałka za wszelką cenę należy podnieść, rozebrała się do bielizny (a był to październik, 10 st. C na plusie) i weszła do wody. Gdy Lider to zobaczył, wskoczył za nią do wody i jakież było nasze zaskoczenie – podpłynął i podjął kaczkę, nieomal wyrwijając ją swojej pani!

Podobną przygodę przeżyłam rok temu, gdy wybrałam się na kaczki sama z moją młodą wylicą szorstkowłosą. Strzelona przeze mnie kaczka upadła na drugi brzeg. Suka przepłynęła rzekę, doszła do kaczki, ale podjąć jej nie chciała. Po wielu próbach i namowach nie pozostawało nic innego jak podjechać z drugiej strony rzeki. Suka znów kaczkę znalazła, ale za Boga zaaportować jej nie chciała. Przyszło mi samej kaczkę zabrać. Dzisiaj te problemy mamy już za sobą. Carmen aportuje kaczki zarówno z wody, jak i z drugiego brzegu, bez najmniejszych problemów.

Potwierdza się zatem teza, że często trzeba się wykazać dużą cierpliwością w szkoleniu psów. Nie załamuj się i bądź konsekwentnym. Mimo, że wówczas akcja nie zakończyła się pozytywnym wykonaniem zadania, czego powinno się unikać przy szkoleniu psów, jak ognia, czasem trzeba odpuścić i wrócić do przeciwiczenia zadania po jakimś czasie. Jak mówi nasz „guru”, pies czasem potrzebuje czasu, by mu się w głowie





poukładało. A zatem - per aspera ad astra! Szczęśliwie się dla mnie złożyło, że w grupie, w kole, w którym poluję, prawie wszyscy są zapałonymi kynologami, posiadającymi psy ze znacznymi sukcesami na konkursach pracy (wszystkie z rodowodami ZKwP/FCI), a do tego część z nich zajmuje się szkoleniem psów. Jakby tego było mało – czworo z nas wchodzi w skład komisji kynologicznej. Niezwykle sobie cenię pomoc w układaniu moich psów ze strony tychże właśnie koleżanek i kolegów. Nie mogłam lepiej trafić.

Tak więc, chcąc szkolić swojego psa, mamy dzisiaj szerokie spektrum możliwości. Potrzebne są tylko dobre chęci, sporo determinacji i trochę czasu.

Dzięki tym wszystkim zabiegom jest duże prawdopodobieństwo, a w zasadzie pewność, że nasz wyszkolony pies będzie dla nas wsparciem, wykonując dobrze swoją pracę podczas polowań. I, co ważne, nie będzie przeszkadzać ani innym myśliwym, ani innym psom.

W Polsce nie ma wymogu sprawdzania umiejętności psów pracujących w łowisku poprzez ich udział i zaliczenie z wynikiem pozytywnym konkursów pracy. Rozporządzenie Ministra Środowiska w sprawie szczegółowych warunków wykonywania polowania oraz znakowania tusz mówi jedynie, że mają to być psy ułożone. I dobrze by było, gdyby

wszystkie polujące w naszych łowiskach psy były faktycznie przynajmniej „ułożone”. A możliwości wyszkolenia psów, jak wynika z powyższej treści, nie brakuje.

Autor tekstu: Ewa Dobrzyńska-Lankosz

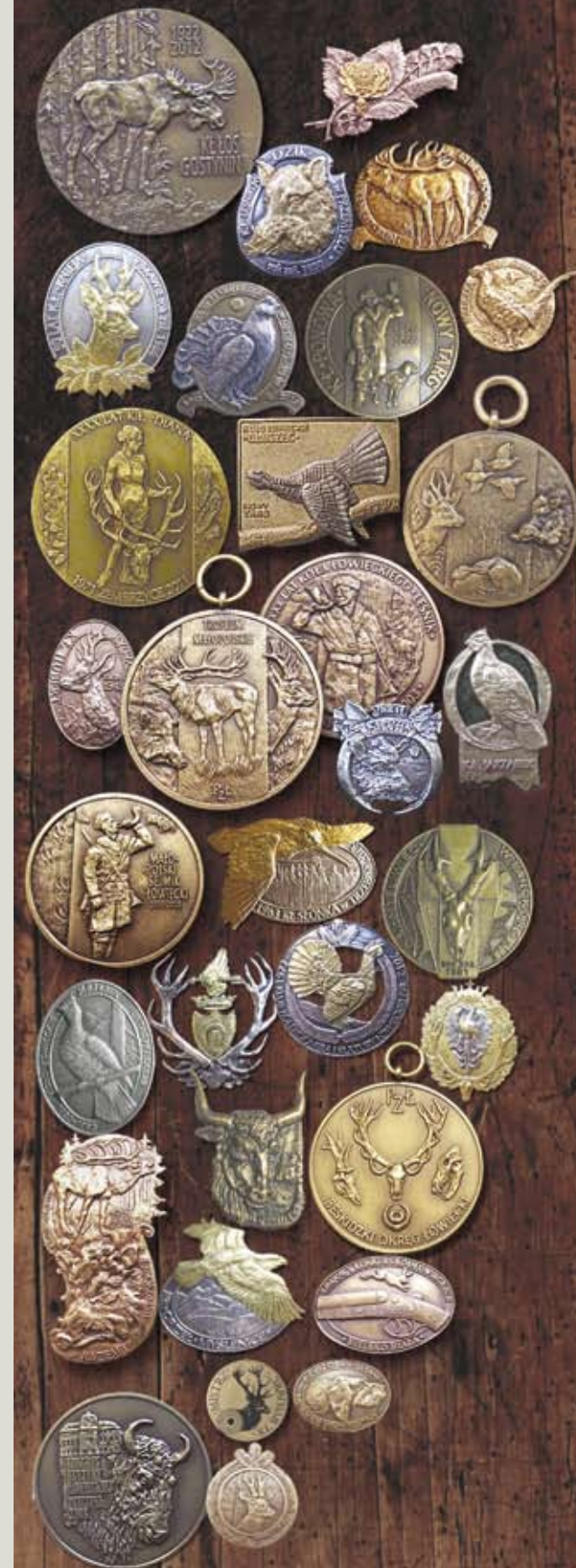
Autor zdjęć: Justyna Garlej



Ewa Dobrzyńska-Lankosz
sekretarz Komisji Kynologicznej przy ZO PZŁ w Krakowie, sekretarz w Kł Hubert w Proszowicach, autorka kilkunastu artykułów z zakresu kynologii łowieckiej



MEDALE I ODZNAKI ŁOWIECKIE
HUBERT ZWINCZAK
tel. 693 40 50 80



Kłusownictwo w okręgu krakowskim

Dariusz Knap



Kłusownictwo staje się coraz bardziej poważnym problemem również w krakowskich łowiskach. Skala zjawiska nie jest duża, ale nowe metody, którymi posługują się kłusownicy - już tak. Na szczęście nie mamy do czynienia z taką skalą tego procederu, jak w innych częściach kraju. Zdarzają się jednak pojedyncze przypadki, gdy znajdujemy schwytaną zwierzynę we wnykach. Ponadto co jakiś czas opinią publiczną wstrząsają informacje o kolejnych przypadkach bestialskich praktyk kłusowników. Jedni kłusują, aby przeżyć, czyli z biedy, ale coraz większą część stanowią tacy i stają się to coraz modniejsze, którzy procederem tym (z reguły przy pomocy broni) parają się dla pieniędzy za sprzedaż mięsa i trofeów. Jednak najstarszą, najliczniejszą i najbardziej popularną grupę kłusownictwa stanowią Ci bez broni. Kłusowanie to polega na rozkładaniu urządzeń tj. wnyków, sideł, potrzasków, raf itp. Urządzenia te swoim działaniem powodują cierpienie zwierząt, a złapane niejednokrotnie giną w mękach lub z głodu. Cierpienie zwierzyny, która wpada we wnyki jest nie do opisania. Kłusownicy, którzy je roztawiają my-

ślą tylko o zdobyczy. Z uwagi na skalę tego zjawiska wyrządzają oni ogromne szkody w środowisku naturalnym. Osoby trudniące się tym procederem znają doskonale zwyczaje zwierząt, miejsca ich migracji, a także koncentracji. Zatrzymanie takiej osoby na tzw. gorącym uczynku jest niezwykle trudne szczególnie przez ostatnie kilka lat, gdzie zimy są prawie beznieżne. Najbardziej skuteczną formą walki z tym patologicznym zjawiskiem jest systematyczna kontrola przez myśliwych miejsc rozkładania wnyków, sideł itp. i likwidowanie ich. Walcząc z tym procederem myśliwi, powinni nawiązywać współpracę z odpowiednimi służbami tj. policją, Państwową Strażą Łowiecką, czy też Państwową Strażą Leśną. Tylko taka współpraca jest niekiedy gwarantem skuteczności w działaniu. Bardzo skutecznym sposobem walki z kłusownictwem jest edukacja społeczeństwa, aby nie przechodziło obok tego zagadnienia obojętnie jak również informowanie odpowiednich służb w przypadku ujawnienia wnyków lub innych zabronionych prawem pułapek. Istotny jest również apel z naszej strony o niezdejmowanie

takich urządzeń samodzielnie i powiadamianie o fakcie odnalezienia sideł odpowiednich służb. Bez takich inicjatyw niejednokrotnie ludzie widzą w lesie wnyki i inne pułapki zastawione przez kłusowników i nie informują o tym odpowiednich służb dając w ten sposób przyzwolenie dla takich praktyk.

Sankcje prawne za kłusownictwo zawarte są w rozdziale 10 - Przepisy karne Ustawy z dnia 13 października 1995 r. - Prawo łowieckie (Dz.U.-2020.0.67).

Art. 52. Kto:

- 1) gromadzi, posiada, wytwarza, przechowuje lub wprowadza do obrotu narzędzia i urządzenia przeznaczone do kłusownictwa,
- 2) wchodzi w posiadanie bezprawnie pozyskanej tuszy lub trofeów zwierząt łownych,
- 3) narusza zakaz, o którym mowa w art. 9 ochrona zwierzyny ust. 1 pkt 4,
- 4) hoduje lub utrzymuje bez zezwolenia charty rasowe lub ich mieszańce,
- 5) sprawując zarząd z ramienia dzierżawcy, a w obwodach niewydzierzawionych z ramienia zarządcy, zezwala na polowanie osobie nieuprawnionej do wykonywania polowania lub na przekroczenie zatwierdzonego w planie łowieckim pozyskania zwierzyny,
- 6) pozyskuje zwierzynę innego gatunku, innej płci lub w większej liczbie, niż przewiduje upoważnienie wydane przez dzierżawcę lub zarządcę obwodu łowieckiego, - **podlega grzywnie, karze ograniczenia wolności albo pozbawienia wolności do roku.**

Art. 53. Naruszanie zasad wykonywania polowania

- Kto: 1) poluje na przelotne ptactwo łowne na wybrzeżu morskim w pasie 3000 m od brzegu w głąb morza lub 5000 m w głąb lądu
- 2) poluje z chartami lub ich mieszańcami,
 - 3) poluje w czasie ochronnym,
 - 4) poluje nie posiadając uprawnień do polowania, 4a) wbrew zakazowi określonymu w art. 42aa pkt 14, zakłada narzędzia lub urządzenia przeznaczone do łowienia, chwytania lub zabijania zwierzyny,
 - 5) wchodzi w posiadanie zwierzyny za pomocą broni i amunicji innej niż myśliwska, środków i materiałów wybuchowych, trucizn, karmy o właściwościach odurzających, sztucznego światła, lepów, wnyków, żelaz, dołów, samostrzałów lub rozkopywania nor i innych niedozwolonych środków,
 - 6) nie będąc uprawnionym do polowania wchodzi w posiadanie zwierzyny - **podlega karze pozbawienia wolności do lat 5.**

Art. 54. Przepadek broni, pojazdów, narzędzi i psów użytych do popełnienia przestępstwa oraz trofeów i tusz zwierzyny

1. W razie skazania za czyny wymienione w art. 52 posiadanie narzędzi i urządzeń do kłusownictwa, hodowla chartów bez zezwolenia, zezwolenie na polowanie dla osoby nieuprawnionej i art. 53 naruszanie zasad wykonywania polowania, sąd może orzec przepadek broni, pojazdów, narzędzi i psów, przy użyciu których dokonane zostało przestępstwo, a także przepadek trofeów, tusz zwierzyny i ich części.

2. Orzeczenie o przepadku, o którym mowa w ust. 1, może dotyczyć również przedmiotów niestanowiących własności sprawcy. W zwalczaniu kłusownictwa niezwykle ważną rolę odegrało Ministerstwo Środowiska wydając Rozporządzenie z dnia 21 czerwca 2005 r. w sprawie zwierzyny bezprawnie pozyskanej (Dz. U. z dnia 29 czerwca 2005 r.) Rozporządzenie to określa wysokość ekwiwalentu za zwierzynę bezprawnie pozyskaną.

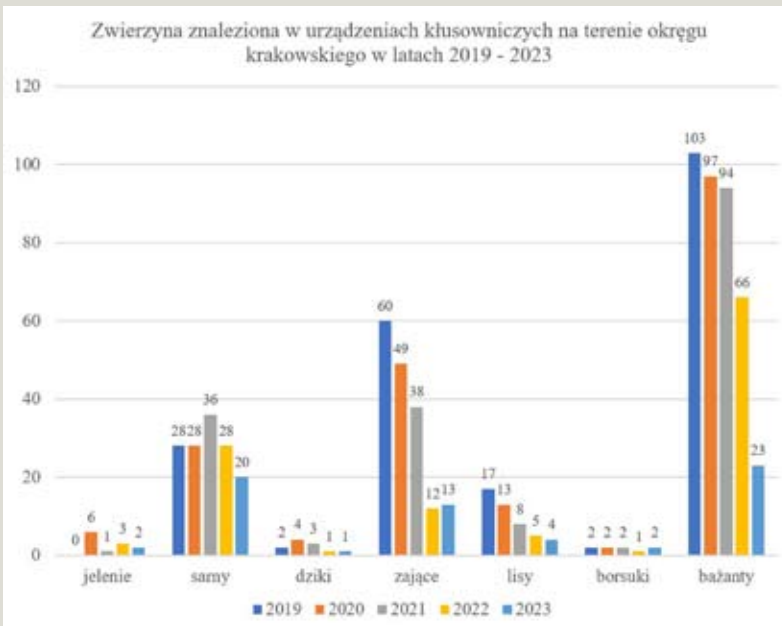
Ekwiwalent ten wynosi:

L.p.	Kwota za sztukę w złotych	Gatunek zwierzyny
1	14000	Łoś
2	5800	Jeleń szlachetny
3	5500	Jeleń sika
4	2300	Daniel
5	2300	Dzik
6	2000	Sarny
7	1800	Muflon
8	1000 zł za sztukę w przypadku gatunków zwierzyny innych niż wymienione w pkt. 1-7	

W przypadku samców zwierzyny płowej wysokość ekwiwalentu, o której mowa ulega zwiększeniu o wartość uzależnioną od masy trofeum brutto, rozumianej jako masa poroża lub parostków z czaszką bez zuchwy.

Wartość ta wynosi:

- 1) w przypadku łosi o masie trofeum brutto:
 - a) do 6,0 kg - 2000 zł,
 - b) powyżej 6,0 kg - 7000 zł;
- 2) w przypadku jeleni szlachetnych o masie trofeum brutto:
 - a) do 5,5 kg - 2000 zł,
 - b) powyżej 5,5 kg - 7000 zł;
- 3) w przypadku jeleni sika o masie trofeum brutto:
 - a) do 2,0 kg - 1000 zł,
 - b) powyżej 2,0 kg - 2500 zł;
- 4) w przypadku danieli o masie trofeum brutto:
 - a) do 2,6 kg - 1500 zł,
 - b) powyżej 2,6 kg - 3000 zł;



5) w przypadku saren o masie trofeum brutto:

- a) do 0,43 kg - 1000 zł,
- b) powyżej 0,43 kg - 5000 zł.

W przypadku bezprawnego pozyskania zwierzyny w sposób inny niż z broni palnej ekwiwalent ustalony zgodnie z ust. 1-3 ulega dodatkowo zwiększeniu o 20%. Złapany kłusownik musi przynajmniej zapłacić ekwiwalent za zabite zwierzę. Dla kłusujących z powodu biedy, dla mięsa, na pożywienie i sprzedaż to dotkliwa kara. Często muszą ją ściągać komornicy. Jednak dla bogatego, polującego dla trofeum taki ekwiwalent nie stanowi już problemu. Kłusownictwo - brutalny proceder pozyskiwania zwierzyny za pomocą niedozwolonych metod zakazanych przez prawo łowieckie - jest jednym z większych problemów polskiego myślistwa.

Podjęmowane działania w celu zniwelowania tego procederu nie przynoszą oczekiwanych rezultatów, a skala kłusownictwa w naszym kraju jest nadal ogromna. Ciągłe temu zjawisku sprzyja niezwykle łagodny system kar. Osoby trudniące się kłusownictwem w ostatnich latach stanowią jeszcze inne zagrożenie, gdyż nie oddając dzików do badań weterynaryjnych, mogą przyczynić się do niekontrolowanego rozprzestrzeniania ASF, w szczególności, gdy teren, gdzie skłusowano zwierzę, leży w strefie zagrożenia ASF. Źle pojmowana solidarność społeczeństwa pozwala często uniknąć kłusownikowi odpowiedzialności za swoje czyny, a brak społecznego potępienia tego procederu w małych, lokalnych społecznościach, a także strach przed ujawnieniem kłusownika z obawy zemsty z jego strony, powoduje u sprawców brak przekonania o nieuchronności kary. Wobec sprawców przestępstw kłusowniczych powinny być wyciągane surowe konsekwencje przez sądownictwo powszechne oraz sądy łowieckie (jeżeli dotyczy myśliwych). Uważam ponadto, że zwalczanie kłusownictwa wymaga większego zaangażowania myśliwych, Państwowej Straży Łowieckiej, administracji Lasów Państwowych oraz organizacji zajmują-

cych się promowaniem ochrony środowiska i praw zwierząt. Działalność informacyjna powinna przede wszystkim eksponować negatywne skutki w postaci cierpienia jakie niesie ze sobą kłusownictwo, a także spożywanie nieprzebadanego mięsa pozyskanego w ten sposób. Budowanie społecznej wrażliwości już od najmłodszych lat może przyczynić się do spadku przyzwolenia z ich strony na tego typu działania oraz wpłynąć na efektywność walki z kłusownictwem i udoskonalenie metod przy tym stosowanych przez organy wymiaru sprawiedliwości i porządku publicznego.

Z myśliwskim „Darz Bór”
Dariusz Knap



Dariusz Knap
Członek Komisji Edukacji NRŁ, prezes Oddziału Chęcińskiego Klubu Kolekcjonera i Kultury Łowieckiej PZŁ, edukator łowiecki, kronikarz, autor wielu artykułów o tematyce łowieckiej, twórca rzemiosła artystycznego o tematyce myśliwskiej.



Z wyżłem na pardwy w szwedzkiej tundrze

Część druga



Polowanie na pardwy – dzień drugi

Drugiego dnia mieliśmy polecieć do odległego o ponad 20 kilometrów łowiska będącego, zdaniem Kima, najlepszym w okolicy terenem na pardwy. Kim wspominał z rozrzewaniem swoje polowania w tej okolicy przed kilku laty, dające rozkłady po kilkanaście sztuk dziennie. Pełni dobrych nadziei na udany dzień wsiedliśmy z ochotą do śmigłowca, biorąc tym razem ze sobą weteranki, Jagę i Florę. Młode psy bez protestu zostały w domu i leczyły swoje obite wczorajszym polowaniem łapy. Dzień zapowia-

dał się inaczej niż poprzedni. Słońce przebijało się przez chmury, coraz częściej widać było błękit nieba i cały świat od razu zaczął wyglądać bardziej radośnie. Poprawiły się też wyraźnie warunki do robienia zdjęć. Miejsce, gdzie przyłecieliśmy, było rzeczywiście niezwykle piękne. Rozległy płaskowyż, o wyraźnie mniej surowej i bardziej urozmaiconej roślinności, otoczony był łagodnie opadającymi wzniesieniami. Znacznie większa niż wczoraj przejrzystość powietrza potęgowała wrażenie ogromu przestrzeni przed nami. Wydawało się, że wzrok sięga po krańce

ziemi. Ruszyliśmy, podobnie jak poprzedniego dnia, w dwóch zespołach. Maciek z Martą wziął ze sobą Jagę. Ja z Hanią i Kimem polowaliśmy z Florą.

Niestety, pardw było niezbyt dużo, wyraźnie mniej niż wczoraj. Przed wszystkim stadka liczyły najwyżej kilka osobników, spotykało się też pojedyncze ptaki. Nasz przewodnik był bardzo zaskoczony tym stanem rzeczy i rozważał szeroko możliwe powody tego. Za jeden z nich uważał zbyt wielką presję łowiecką ze strony wspomnianych wcześniej norweskich myśliwych. Wielką przyjemność natomiast sprawiała

mi praca Flory, która chodziła szeroko, systematycznie i mądrze. Dość powiedzieć, że Kim, doświadczony zawodowy myśliwy, od lat polujący ze swoim seterem angielskim, chwając sukę, powiedział, że chciałby mieć po niej szczeniaka. Jako hodowca nie mogłem usłyszeć większego komplementu. Pomimo mniejszego, niż oczekiwany, stanu pardw ten dzień z pewnością zaliczyliśmy do bardzo udanych za sprawą kilku zdarzeń.

Zdobyłem swoje pierwsze pardwy, i to w sposób dający sporą satysfakcję. Pierwsza wyrwała się niespodziewanie prawie spod naszych stóp, z głębokiej, ale niezbyt szerokiej rozpadliny terenu. Flora dobiegała do skraju rozpadliny, ja szedłem spokojnie z bronią na ramieniu, niczego nie podejrzewając. Błyskawicznie sięgnąłem po dubeltówkę i oddałem szybki strzał z rzutu w momencie, kiedy pardwa chowała się za skałą. Chwila niepewności. Posłałem Florę, która po chwili wybiegła zza skały ze śnieżnobiałym ptakiem w kufie. Radość, gratulacje od Kima za piękny strzał.

Drugą dostałem od świętego Huberta w następujący sposób. Nasze dwa zespoły szły równolegle w odległości może 100 150 metrów. Psy pracowały przed nami. W pewnym momencie Jaga, pracująca przed Maćkiem i Martą, zaznańczyła zwierzynę i zaczęła powoli dociągać. Pojedyncza pardwa zerwała się ze sporej odległości, nie dając Maćkowi szansy na skuteczny strzał, i skierowała się w naszą stronę. Zapewne nie widziała nas, gdyż byliśmy wyraźnie wyżej niż pierwsza grupa. Strzeliłem – jest! Dobiegła Jaga, podniosła ptaka i zaaportowała Maćkowi. Potem jeszcze parę razy spotkaliśmy ptaki, które jednak nie dopuszczały nas na odległość strzału. Kilkakrotnie suki wystawiały, ale nie udawało się nam dojść zwierzę w trudnym terenie. Zaliczyłem też jedno pudło do niespodziewanie zrywającego się kogutka, który po spudłowanym strzale „obśmiał” mnie w specyficzny ironiczny sposób. Tak, zdaniem Kima, reagują kogutki pardwy na pudło. Trzeba było uwierzyć mu na słowo.

Oprócz dochodzenia ptaków, pięknej pracy psów, wspaniałej przestrzeni wokół nas i naprawdę pięknej pogody ten dzień dał nam jeszcze szansę na dwa niezwykle spotkania. Około południa na skraju opadającej w kierunku jeziora powierzchni zobaczyliśmy, ku naszemu zdziwieniu, spore stado może lepiej chmarę, szukając lepszego słowa w łowieckiej gwarze reniferów. Spotykaliśmy je później kilkakrotnie, ale ten pierwszy raz szczególnie wyrzył mi się w pamięci. Widząc nas, spokojnie oddaliły się bez żadnych objawów paniki. W tamtych stro-



nach wszystkie żyjące swobodnie renifery były w istocie własnością którejś z rodzin Saamów, odwiecznych mieszkańców Laponii. Nasze psy zachowały się spokojnie, przepisowo respektując zwierza. Niedługo potem spotkaliśmy prawdziwego króla tamtego świata – wielkiego byka łosia. Potężny łopatacz, zdaniem Kima nigdy wcześniej niewidziany w tamtych stronach, spokojnie przemaszerał może 200 metrów od nas. Suki bez widocznej emocji odprowadziły go wzrokiem, a my z wielką przyjemnością przyglądaliśmy się potężnej sylwetce, ale przede wszystkim potężnym, omal alaskańskim roso-

chom. Widok był zapewne również niezwykle i poruszający dla naszego przewodnika, który opowiadał nam przy południowej kawie, że takie złotomedalowe byki są w Szwecji na wagę złota. Dosłownie! W szwedzkich czasopismach łowieckich pojawiają się czasem ogłoszenia typu: „Poszukuję możliwości zdobycia złotomedalowego łosia. Cena nie gra roli!!!”. Naprawdę!

W drodze na miejsce umówionego spotkania ze śmigłowcem zaczęła psuć się pogoda, nadciągnął lodowaty północny wiatr, a wraz z nim deszcz. Widok nadlatującego transportu był naprawdę miłym zakończeniem tego dnia w górach.

Polowanie na pardwy – dzień trzeci

Trzeciego dnia polowania pogoda przygotowała dla nas małą niespodziankę. Obudziliśmy się w świecie otulonym gęstą, wilgotną i zimną mgłą. Zjedliśmy spokojnie śniadanie, ale mgła nie miała zamiaru ustępować, co oznaczało, że z lotu śmigłowcem nici. Cóż, zmiana planów była konieczna. Kim zaproponował, by pojechać drogą nr 95 około 20 kilometrów w kierunku norweskiej granicy i zapolować w tamtych stronach. Innego rozwiązania nie było, toteż spakowaliśmy się i w drogę. Drogę zresztą ciekawie wijącą się pomiędzy otaczającymi ją górami

i do tego opalikoną po obu stronach wysokimi na co najmniej dwa metry, tyczkami. Po co tyczki? Przez część zimowych tygodni droga ta jest zupełnie nieprzejezdna, ale przez jakiś czas można z niej korzystać i wtedy jej przebieg pod śniegiem wskazują wystające ze śniegu szczyty tyczek. Nieźle, prawda? Nasz przewodnik opowiadał też, że kiedy droga jest jeszcze przejezdna, ale biegnie w wąskim śnieżnym wąwozie, często się zdarza, że kierowca traci orientację, co uniemożliwia dalszą jazdę. Otoczony stuprocentową bielą w śnieżnym wąwozie, nie potrafi rozpoznać właściwego kierunku jazdy, co w zimowym czasie może być śmiertelnie niebezpieczne.

Ruszyliśmy. Po przejechaniu kilkunastu kilometrów mgła zaczęła rzednąć, aż w końcu zupełnie się rozproszyła. Po przebyciu kolejnych kilometrów zatrzymaliśmy się na małym przydrożnym parkingu. W teren ruszyliśmy w zwykłym składzie, mając tym razem ze sobą Gapę i Gorana. Wędrowaliśmy ścieżkami Saamów, znaczących przez setki lat swoje trasy specyficznymi kamiennymi kopczykami. Może warto w tym miejscu wspomnieć, że lud ten, zamieszkujący północną Skandynawię od 10 tysięcy lat, żyjący z łowiectwa i hodowli reniferów, wspaniale przystosował się do życia w tych ekstremalnych warunkach. Kim zawsze mówił z podziwem o umiejętnościach łowieckich Saamów, ale też o niezwyklej wytrzymałości i zdolności do znajdowania właściwej drogi w tej dzikiej przestrzeni. W przerwie polowania opowiadał nam, że kilka lat wcześniej, późną już jesienią, po skutecznym zakończonym polowaniu na łosia powstał problem, jak zabrać tuszę. Zbliżała się noc, a do ludzkich osiedli droga była bardzo daleka. Z pomocą przyszedł wtedy młody Saam, który po prostu wziął swojego quada, załadował na niego tuszę i pojechał nocą przez góry do swojej rodziny mieszkającej po drugiej stronie norweskiej granicy. Kto miał okazję wędrować przez te okolice, zrozumie podziw Kima. Zresztą może warto też powiedzieć, że po okresie dyskryminacji oraz siłowej wręcz asymilacji przez rządy Norwegii i Szwecji Saamowie zbudowali dla swojej wspólnoty względną autonomię. W łowiectwie oznacza ona na przykład, że mogą polować na całym terenie eksterytorialnie, to znaczy nie bacząc na własność terenu czy uzgodnione w lokalnych wspólnotach plany pozyskania łowieckiego. Oni po prostu są u siebie.

Wracając do naszego polowania. Tego dnia penetrowaliśmy małe płaskowyzę, schodziliśmy w niewielkie doliny, których dno skrywało zarastające jeziora, przeszukiwaliśmy skaliste zbocza i nic. Nie spotkaliśmy żadnej pardwy, choć



wielokrotnie trafialiśmy na ślady ich bytowania, również na ślady żerowania drapieżników znaczone rozsypanym szeroko białym pierzem. Psy kilkakrotnie sygnalizowały obecność ptaków, jednak nie dane nam było do nich dojść. Kim sugerował, że teren jest zbyt dostępny dla miejscowych myśliwych i dlatego mocno opolowany, a często płoszone pardwy przeniosły się w wyższe partie gór. Wracaliśmy do samocho-

dów nasyceni ruchem, przestrzenią, wspaniałymi widokami, lecz bez zdobyczy. Cóż, takie jest polowanie. Jednak ten dzień i łowieckie niepowodzenie utorowały nam drogę do niezwyklej, nie planowanej wcześniej, przygody. Jeżeli polowanie na pardwy jest ukoronowaniem moich polowań z wyzłami, to kolejny dzień przyniósł ukoronowanie tego wyjazdu. A było tak.

W czasie wieczornego spotkania Kim miał niewesołą minę, gdyż czuł, że trochę zawiódł nasze oczekiwania. Miał jednak przygotowaną królewską ofertę. Zaczął od tego, że przyglądając się nam przez ostatnie dni, ocenił z uznaniem nasze kwalifikacje łowieckie oraz kwalifikacje naszych psów. Wspomniał, że w Szwecji obowiązuje niepisana zasada mówiąca, że Skandynawowie mogą polować samodzielnie, natomiast obcokrajowcy przyjeżdżający na polowanie jedynie w towarzystwie lokalnego przewodnika. Kryło się w tej zasadzie, choć nie zostało jasno wyartykułowane, przekonanie, że tutejsze łowiectwo stawia progi trudne czasem do przekroczenia „zwykłego” europejskiemu myśliwemu. Kim opowiedział nam o swoim doświadczeniu z pewnym znanym angielskim kucharzem, który przyjechał zobaczyć polowanie na głuszce i przy okazji pokazać swoim telewizyjnym fanom, jak przyrządza się dary skandynawskich gór. Anglik o mało nie padł z wycieńczenia już po pierwszym dniu oglądania, w jaki sposób zapełnia się skandynawską spizarnię, i na zawsze pozostał przedmiotem żartów miejscowych myśliwych.



Tak oto wprowadził nas Kim w swoją propozycję. Jaką? Zaproponował nam mianowicie polowanie na górską pardwę, żyjącą w niezwykle trudnym terenie pod szczytami gór pozwala się na nią polować jedynie nielicznym. Dodał, że według jego wiedzy nie polował na nią jeszcze nikt z Europy rozumianej jako świat leżący na południe od Skandynawii. Jeżeli wyrazimy zgodę, polecimy śmigłowcem pod szczyt najwyższej góry w okolicy, na wysokość około 1200 metrów. Polowanie odbędzie się na granicy śniegu, w bardzo trudnym skalistym terenie. Zgodziliśmy się oczywiście z radością.

Polowanie na górskie pardwy – dzień czwarty

Ranek wstał mglisty i zaczęliśmy się obawiać powtórzenia wczorajszego scenariusza. Na szczęście około dziewiętej niebo się przetańczyło i pilot zgodził się lecieć. Tym razem wziąłem ze sobą Florę, a Maciek Gorana, gdyż niemłoda już Jaga nie dawała fizycznie rady, a polowanie zapowiadało się na wyjątkowo ciężkie. Goran, pomimo młodego wieku, był bardzo mocnym, dynamicznie pracującym psem i w poprzednich dniach pokazał, że można na niego liczyć w każdych warunkach.

Wsiedliśmy jak zwykle do „naszego” śmigłowca, ruszając na spotkanie niezwyklej przygody. Po dłuższym niż zwykle locie wylądowaliśmy pod szczytem najwyższej góry w naszej okolicy, na wysokości około 1200 m n.p.m. Miejscem lądowania było obrzeże niewielkiego jeziora, pokryte mchami i porostami czepiającymi się skalistego podłoża, na szczęście dosyć płaskie. Woda w jeziorze zamrznięta była wokół brzegów. Temperatura 2-3 stopnie poniżej zera. Śmigłowiec po chwili odleciał i zostaliśmy sami.

Przed sobą mieliśmy zbocze pokryte mniejszymi i większymi odłamami skalnymi, z zalegającymi pomiędzy nimi dużymi płatami śniegu. Ruszyliśmy pod górę przez to skalne rumowisko. Powyżej zbocza zamykającego naszą niewielką dolinę miała być większa przestrzeń, na której mieliśmy szukać pardwy górskiej. W czasie marszu po skalistym zboczu spotkaliśmy w kilku miejscach na śniegu tropy pardw oraz ich odchody. Trudno uwierzyć, że w takich warunkach mogą żyć te kuropatwy północy, ale „śnieżna księga” nie pozostawiała żadnych wątpliwości. Z niemalym trudem wydostaliśmy się na szczyt dolinki. Pogoda poprawiła się wyraźnie, coraz częściej przez chmury przebijało słońce. O ile do tej pory przestrzeń, w której polowaliśmy, robiła wielkie wrażenie, o tyle teraz perspektywa, która się przed nami otwierała, była po prostu niewiarygodna. Mieliśmy wrażenie, że świat leży u naszych stóp w pokrytych snującymi się mgłami dolinach i w otaczających je wzniesieniach.

Na południowych stokach naszej góry spodziewaliśmy się spotkać pardwę. Podzieliliśmy się ponownie na dwa zespoły. Ja z Hanią i Kimem oraz z Florą poszliśmy wzdłuż lewego brzegu potężnego żlebu, który rozciągał się przed nami. Maciek z Martą i Goranem poszli na prawy jego skłon. Teren, choć bardziej płaski niż początkowo, był niezwykle trudny. Skały, skały i jeszcze raz skały poprzedzielane jedynie tu i ówdzie małymi powierzchniami zwirowymi z czepiającym się ich życiem. Trudność terenu polegała też na tym, że co chwila dochodził do gwałtownie opadających w dół uskoków, stwarzających wielkie niebezpieczeństwo upadku z dużej wysokości dla wyzłów, nieprzywykłych przecież do tej kategorii zagrożenia.





Nie zawiedliśmy się na swoich pomocnikach. Zarówno Flora, jak i Goran pracowały twardo i mądrze, traktując niezwykle przestrzeń polowania z naturalnym spokojem. Były naprawdę super! Pardw spotkaliśmy niemało, ale dojście do strzału było nie lada zadaniem. Stadka rwały się z dużej odległości, nie dając szansy na skuteczny strzał, a nawet na kolejne spotkanie. Mnie los dał jedną, jedyną szansę na zdobycie tego niezwykłego trofeum.

Schodziliśmy z Florą szerokim kamiennym stokiem zwróconym na południe. Hania z ciężkim aparatem została sporo za nami, Kim był jeszcze dalej. W pewnym momencie podniósłszy wzrok, zobaczyłem Florę w twardej stójce przed wielkim głazem, na skraju schodzącego stromo w dół stoku. Spojrzałem wyżej i zobaczyłem siedzące na głazie dwie pardwy starające się wtopić w powierzchnię skały. Odległość nie przekraczała 20 metrów. Miałem swoją łowiecką szansę! Niestety zgubiła mnie łowiecka chciwość, każąca założyć strzelenie dubletu. Pardwy zerwały się błyskawicznie jedna ostro w prawo, druga równie ostro w lewo. Strzeliłem pierwszą na prawo i spudłowałem na czysto. Złożyłem się do drugiej. Strzał dostała, ale lotem koszącym spłynęła w głąb żlebu, na którego skraju cała akcja miała miejsce. Upadła w rumowisko

skalne ze 100 metrów dalej i może z 20 metrów niżej. Nie czekając, ruszyłem z Florą w tym kierunku, pokonując kamienne zbocze tak szybko, jak się tylko dało.

Poszukiwania nie przyniosły niestety żadnego rezultatu. Kim, który z góry obserwował całe zdarzenie, powiedział mi później, że szansa na znalezienie postrzałka pardwy wśród rumowiska skalnego, pełnego rozpadlin i szczelin, równa jest zeru. Cóż, trzeba było przełknąć gorzką lekcję. Nie zdobyłem swojej górskiej pardwy, ale obraz tych kilku chwil będę miał pod powiekami do końca życia.

Swoją szansę wykorzystał natomiast Maciek, mający do pomocy doskonale pracującego Gorana. Penetrując prawą stronę żlebu, zdobył aż trzy pardwy, stając się tym samym zapewne jednym z niewielu, a może jedynym spoza Skandynawii, którzy zdobyli to trofeum. Maciej i Marta mieli też to szczęście, że spotkali na tej wysokości ruszonego przez Gorana zająca bielaka oraz wędrującą gromadkę reniferów. Trudno doprawdy zrozumieć, jak one dają sobie radę w tej kamiennej niegościnniej krainie.

Wracaliśmy na spotkanie ze śmigłowcem omal pijani przestrzenią i łowieckimi wrażeniami. W drodze powrotnej znowu widzieliśmy wiele pozostałości po pardwach, ale ptaki nie dały



nam szansę na spotkanie. Czekając na transport, oglądaliśmy z wielką ciekawością zdobyte przez Maćka ptaki, które potrafią żyć w tak skrajnie niekorzystnych dla nich warunkach.

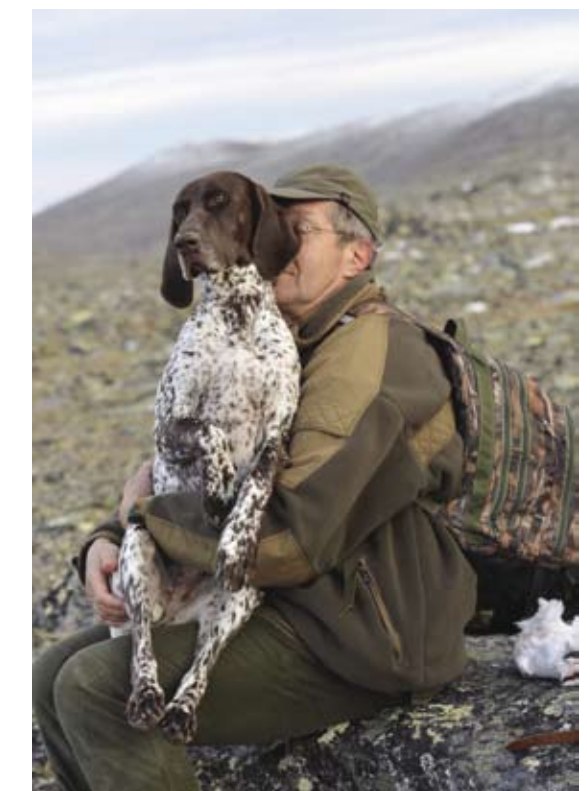
Tak zakończyła się nasza przygoda, a właściwie ta jej część, która wiązała się z polowaniem na pardwy. Po krótkim odpoczynku ruszyliśmy na południe, do odległego o ponad 300 kilometrów obozu łowieckiego Svanis. W planie było polowanie na guszce i cietrzewie z wyżłami lub szpicami w tradycyjny szwedzki sposób. Nie chcąc odbiegać zbyt daleko od głównego wątku, powiem jedynie tyle, że o tej porze roku zdobycie spod wyżła guszca czy cietrzewia możliwe jest tylko przypadkowo. Czas na takie polowanie to sam początek łowieckiego sezonu, czyli przełom sierpnia i września, gdy ptaki zgrupowane są jeszcze w rodzinnych stadkach.

Polowanie ze szpicem na guszca, co jest tematem na inną opowieść, polecam każdemu, kto kocha łowieckie wyzwania. Każdemu, dla kogo ważniejsza jest rywalizacja ze zwierzem niż zdobycie trofeum. W mojej pamięci obóz Svanis pozostanie też miejscem, gdzie mogłem zobaczyć czy może trochę poczuć ducha szwedzkich myśliwych. Miejscem, gdzie można było zobaczyć niezwykle połączenie surowości życia z troską o codzienne drobne przyjemności. To już, jak pisałem wcześniej, temat na osobną opowieść.

Kończąc tę część opowiadania, chciałbym bardzo serdecznie zachęcić do przejrzenia wybranych zdjęć z naszego polowania. Słowa tak krótkiego przekazu są zbyt prostym narzędziem dla opisanego tego, co widzieliśmy i czego doświadczyliśmy w górach szwedzkiej Laponii. Obraz powinien być dopełnieniem, które w su-

mie pozwoli Czytelnikowi ocenić i lepiej zrozumieć to, o czym pisałem.

Dr hab. n. med. Zbigniew Ciemniowski – lekarz kardiolog, nauczyciel akademicki, myśliwy z pięćdziesięcioletnim stażem, autor licznych artykułów o łowiectwie i kynologii. Miłośnik polowania z wyżłami, hodowca psów myśliwskich (hodowla „ze Skolnitem”), założyciel Klubu Wyżłami przy Polskim Związku Łowieckim.



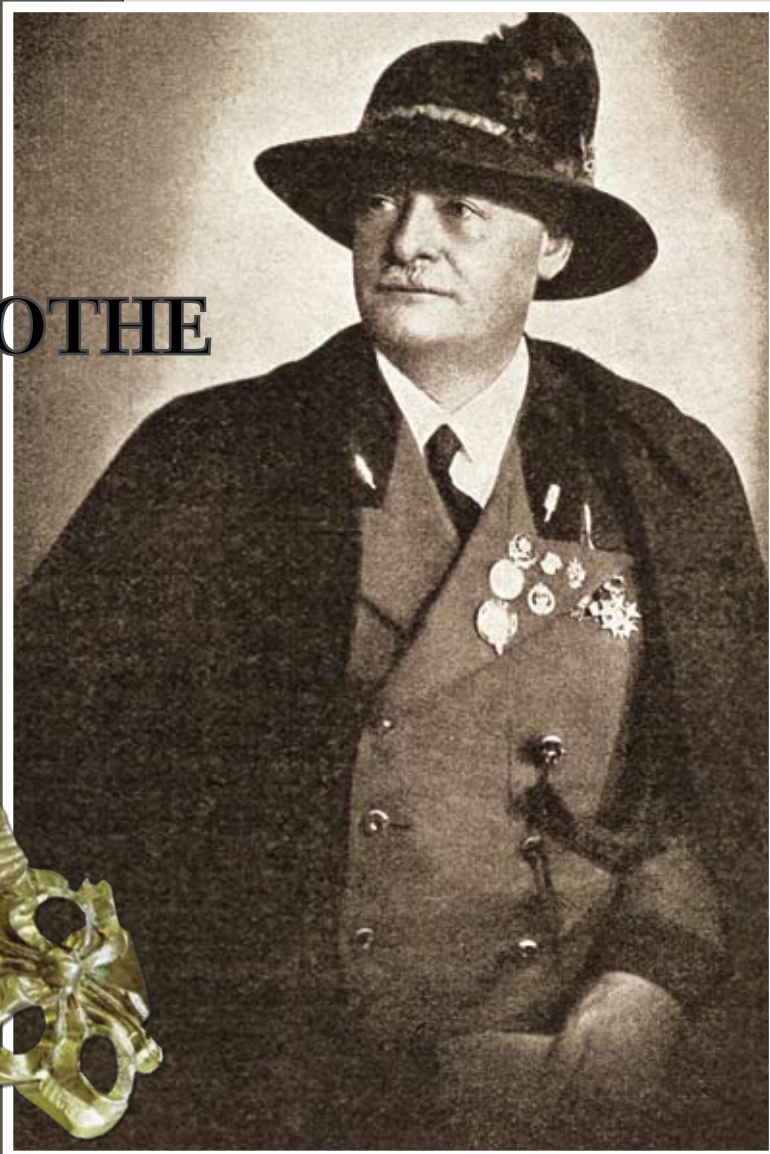
JESIEŃ

RAFAŁ
ŁAPINSKI



WIELKI ŁOWCZY II RZECZYPOSPOLITEJ HERMAN KNOTHE

WALDEMAR SMOLSKI



Zyciorys Hermana Fryderyka Ryszarda Knothe, to jednocześnie wspaniała karta zapisana w historii 100 lat polskiego łowiectwa. Herman Knothe był wybitnym znawcą łowiectwa i jego działaczem, ale przede wszystkim myśliwym. Był oczarowany Polesiem. Tam też głównie polował; na głuszcę i ptactwo wodne. W jednym z opowiadań pisze o sobie: *Wraz z nastaniem wiosny jednak obudziły się we mnie instynkty myśliwego i ożyły wspomnienia z kniei i bagien Polesia przeżyte, gdzie przez tyle lat spędzałem pierwsze dni wiosenne.*

Urodził się 4 czerwca 1879 roku w majątku Kraszkowice na ziemi wieluńskiej, należącym do spolszczonej rodziny ziemiańskiej wywodzącej się z Saksonii. Był najmłodszy z licznego rodzeństwa. Ponieważ wcześniej osierocił go oj-

ciec, wychowywała go matka i starsi bracia. To oni zaszczepili mu miłość do przyrody i upodobanie do polowań. Po ukończeniu Gimnazjum im. Wojciecha Górskiego w Warszawie rozpoczął studia w Instytucie Technologicznym w Petersburgu. Zaledwie po roku został, z powodów politycznych, zmuszony do opuszczenia uczelni. Przeniósł się na Wydział Architektury Politechniki w Karlsruhe w ówczesnej Badenii (Niemcy). Równocześnie zapisał się na studia łowieckie przy Wydziale Leśnym na tej samej Politechnice, zdając sobie sprawę, że łowiectwo to nie tylko pasja, ale także bogata gałąź wiedzy i nauki. To poważne podejście do łowiectwa i stałe pogłębianie wiedzy w tym zakresie cechowało Hermana Knothe przez całe życie. W 1902 roku kończy Politechnikę z tytułem inżyniera

Herman Knothe z okresu pracy w Petersburgu

architekta i wraca do kraju. Ponieważ chciał uzyskać prawa inżyniera praktykującego na obszarze całego państwa rosyjskiego (część Polski była wówczas pod zaborem rosyjskim), a do tego potrzebna była dwuletnia praktyka zawodowa, wyjechał ponownie do Petersburga, gdzie pracował w biurze profesorów Szyszki i Wróblewskiego w Instytucie Komunikacji. Tam jako początkujący architekt zaprojektował dwie latarnie żeglugowe na jeziorach Ładoga i Onega, z których pierwsza odegrała po latach istotną rolę podczas słynnej, a zarazem tragicznej blokady Leningradu podczas II wojny światowej. Wskazywała tzw. Drogę Życia, przez którą prowadzony był transport ludzi i towarów (1941-1944). Po zakończonej praktyce i uzyskaniu stosownych uprawnień Herman Knothe wrócił do Warszawy (1904).



W Warszawie nawiązał współpracę z prof. Stefanem Szyllerem i podjął pracę w jego zespole m.in. przy zabudowie Alei Róż. Zaprojektował Szpital św. Łazarza, własną 6-piętrową kamienicę przy ul. Pięknej 11 i 11 B i róg Mokotowskiej, którą wybudował w latach 1912-1913, kamienicę przy ul. Tamka 45, 47 i 49, ul. Mokotowskiej 45 oraz ul. Poznańskiej 16 w Warszawie, Bank Handlowy w Białymstoku, Manufakturę zwaną Fabryką Jedwabnych Pluszów Eugeniusza Beckera w Białymstoku, Fabrykę Sukna Augusta Moesa w Choroszczy, kościół katolicki w Mławie, fabrykę papieru i pałac Steinhagenów w Myszkowie, cegielnię w Zielonce k. Warszawy oraz szereg willi. Przed I wojną światową



Kamienica H. Knothe w Warszawie początek lat 30 ub. w.

pracował przy rozbudowie twierdzy Modlin. Mieszkał w Warszawie (we własnej kamienicy) i w Zielonce, w majątku ziemskim swojej teściowej Heleny Arkuszewskiej z d. Staszewskiej. Kierował tu rodzinną cegielnią (1924-1939) „Towarzystwa Handlowo-Przemysłowego Zielonka” sp. z o.o., która eksploatowała złoża na tzw. „Starych Glinkach”, leżące na terenie drugiego rodzinnego folwarku – Arkuszewo.

W latach trzydziestych ubiegłego stulecia Herman Knothe zdecydował się porzucić swój wyuczony zawód i oddał się całkowicie swojej życiowej pasji – łowiectwu, stając się też jednym z największych działaczy i organizatorów łowiectwa Drugiej Rzeczypospolitej. Swoją łowiecką działalność rozpoczął dużo wcześniej, będąc jeszcze studentem, gdy w 1900 roku wraz z Janem Sztolcmanem zorganizował próby polowe wyżłów w Warszawie, a wkrótce potem został przewodniczącym sekcji hodowli psa myśliwskiego. Później objął sekcję hodowli łosia i głuszcza. Z tego też okresu datuje się jego bliska współpraca z Towarzystwem Prawidłowego Łowiectwa w Warszawie, gdzie zaprzyjaźnił się, poza wspomnianym Janem Sztolcmanem, także z Władysławem Słonczyńskim, Antonim Wysockim, Władysławem Starzyńskim i z wieloma innymi działaczami łowieckimi. Z początkiem marca 1919 roku H. Knothe został oddelegowany przez Ministerstwo Robót Publicznych i Zarząd Ziemi Wschodnich do Puszczy Białowiejskiej w celu rozeznania sytuacji żubra. Po przybyciu do Białowieży H. Knothe zorganizował grupę ludzi, którzy przez 10 dni poszukiwali żubrzych tropów. Odnaleziono ich zaledwie kilkanaście. Żywych żubrów nie widziano. Po miesiącu Knothe ponownie pojechał do Białowieży. Powtórzył badania, ale wynik okazał się jeszcze gorszy niż za pierwszym razem. Ponadto uzyskał informacje, że w międzyczasie z rąk kłusowników padły kolejne żubry. W trakcie poszukiwań natrafiono na rogi ostatniego ubitego żubra. Po powrocie do Warszawy H. Knothe zamówił w pracowni braci Łopieńskich figurę żubra z mośjadu i umieścił ją pomiędzy znalezione rogi. W grudniu 1929 r. wstąpił w poczet członków Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego. W 1931 roku mianowano go konsultantem ds. łowieckich w Ministerstwie Rolnictwa i Reform Rolnych, z pełnieniem tej funkcji również



OCENA TROFEÓW MYŚLIWSKICH



Broszura z roku 1934 (ze zbiorów prywatnych Marka Wajdzika)

przy Naczelnej Dyrekcji Lasów Państwowych i z tej racji przysługiwał mu tytuł Wielkiego Łowczego Generalnego Łowczego Lasów Państwowych II RP. Funkcję tę pełnił do wybuchu II wojny światowej.

Herman Knothe potrafił doskonale łączyć swe obowiązki państwowe z działalnością w Związku Łowieckim, a przypomnę tylko, że w tym czasie był członkiem Komitetu Wykonawczego, zasiadał w Naczelnej Radzie Łowieckiej i współpracował z Komitetem Redakcyjnym „Łowca Polskiego”, gdzie nie tylko udzielał cennych rad, ale i publikował artykuły. Jednocześnie pracował usilnie nad opracowaniem sys-

temu oceny trofeów myśliwskich. Wynikiem studiów nad tym ważnym i nie lada trudnym zagadnieniem była opracowana z głębokim zapałem rozprawa pt. „Ocena poroży” opublikowana w kalendarzu myśliwskim na rok 1935. To cenne opracowanie ukazało się w formie broszurki w 1934 roku w nakładzie 300 sztuk, a w roku następnym, po poprawkach autorskich, w nakładzie 500 sztuk. Praca przyniosła mu rozgłos w kraju i za granicą. W tym samym roku Knothe został powołany na członka Prezydium Międzynarodowej Rady Łowiectwa, gdzie dał się poznać jako wybitny specjalista przy opracowaniu jednolitych międzynarodowych wzorców jakościowej oceny trofeów myśliwskich. W 1937 roku odniósł wielki sukces jako generalny komisarz rządu polskiego na Międzynarodowej Wystawie Łowieckiej w Berlinie. Trofea oraz ekspozaty polskich myśliwych okazały się bezkonkurencyjne zdobywając większość złotych medali. Poniżej na zdjęciu fragment polskiej ekspozycji na tej wystawie.

Herman Knothe wielokrotnie odwiedzał Puszcę Białowieską jako uczestnik urządzanych tam polowań. Brał udział w białowieskich polowaniach reprezentacyjnych w roku 1935 i 1937. Razem z prezydentem RP Ignacym Mościckim polował także jesienią na jelenie.

Knothe zabierał głos na łamach „Łowca Polskiego”, gdzie w latach 30 ub. w. opublikował szereg artykułów m. in.: „Przed tokami”, „W sprawie hodowli saren na zachodnich ziemiach Polski”, „Po tegorocznym wabie łosi”, „O reaklimatyzacji łosi w Puszczy Białowieskiej”, „Jak wykorzystać zwierzostany”.

Prezydent RP I. Mościcki powierzył mu o-



Polowanie w Pruchnej – październik 1934 r.

ganizację reprezentacyjnych polowań dla Zamku Królewskiego, gdzie wchodziły w rachubę: Białowieża, Spała, Cieszyn, Runowo i Lutówko. W roku 1929 zaprojektował - o czym mało kto wie - najwyższe odznaczenie łowieckie „Honorowy Żeton Zasługi” - „ZŁOM”. Pod koniec okresu międzywojennego, dzięki jego inicjatywie i staraniom, sprowadzono do hodowli do Polski muflony. Zasługi Hermana Knothe'go na polu łowiectwa doceniono w kraju i za granicą, czego dowodzą odznaczenia, które otrzymał: Złoty Krzyż Zasługi (1933 r.), węgierską Komandorię Orderu św. Stefana, francuski Krzyż Oficerski Legii Honorowej oraz Oficerski Złoty Krzyż Zasługi Ministerstwa Rolnictwa Francji oraz najwyższe odznaczenie łowieckie „ZŁOM”, przyznany mu w 1931 roku. W latach 1932-1939 był członkiem zarządu Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich oraz członkiem jego Wydziału Wykonawczego, a równocześnie członkiem Sądu Łowieckiego. W czasie bombardowania Warszawy we wrześniu 1939 r. został poważnie ranny, gdy przysypały go gruzy jego własnej kamienicy po uderzeniu bomby lotniczej. W wyniku obrażeń trafił do szpitala. Po wyzdrowieniu powrócił do pracy konspiracyjnej Naczelnej Rady Łowieckiej. W jego mieszkaniu w wigilię (24.12.1939 r.) odbyło się

Herman Knothe (drugi od lewej) towarzyszył prezydentowi Ignacemu Mościckiemu podczas jesiennego polowania na jelenie, lata 30 ub. w. foto: S. Łuniewski





Polowanie w Wielkopolsce – wrzesień 1932 r. Prezydent RP Ignacy Mościcki w otoczeniu uczestników polowania. Od lewej stoją: generalny łowczy Lasów Państwowych H.Knothe, zastępca szefa Gabinetu Wojskowego Prezydenta RP mjr Kazimierz Jurgielewicz, Prezydent I. Mościcki, N/N, i na końcu syn Prezydenta Michał Mościcki.

pierwsze tajne spotkanie jej członków. Takie spotkania odbywały się u niego wielokrotnie. Trudny okres okupacji spędził w stolicy, a w czasie powstania warszawskiego stracił cały swój dorobek: bogaty księgozbiór oraz liczne trofea i pamiątki myśliwskie. Po wojnie osiedlił się na Mazurach i podjął pracę jako kierownik biura technicznego przy Dyrekcji Lasów Państwowych w Olsztynie, pełniąc jednocześnie funkcję przewodniczącego Wojewódzkiej Rady Łowieckiej. W 1950 roku przeniósł się do Warszawy. Starał się o pracę w Generalnej Dyrekcji Lasów Państwowych, lecz te starania spełzły na niczym, gdyż Ministerstwo, ze względu na jego wiek (69 lat), nie wyraziło zgody na zatrudnienie. Naczelna Rada Łowiecka powołała go na konsultanta ds. hodowlanych, którą to funkcję sprawował w latach 1950-1960. W sierpniu 1959 roku udało mu się zorganizować pierwszą powojenną Ogólnopolską Wystawę Trofeów Łowieckich w Poznaniu. Współpracował z redakcją „Łowca Polskiego”, w którym zamieszczał szereg swoich artykułów, między innymi: „Przed sezonem polowań na kuropatwy” (nr. 9 z 1952 r.) czy



Waldemar Smolski
inż. leśnik, dokumentalista łowiecki, znawca historii zorganizowanego łowiectwa na ziemiach polskich, autor książek, redaktor wielu artykułów z dziedziny łowieckiej. Wykładowca akademicki, lektor i wykładowca PZŁ z dziedziny kultura łowiecka.

„Praktyczne wskazówki wychowu bażantów” (nr 4 i 5 z 1952 r.). W roku 1953 otrzymał zaszczytny tytuł honorowego członka Polskiego Związku Łowieckiego. Od 1946 roku do śmierci pełnił też obowiązki przewodniczącego Kapituły Odznaczeń Łowieckich. Ostatnie jej posiedzenie prowadził będąc już ciężko chory, w dniu 19 lipca 1961 r., w domu córki Zofii w Zielonce pod Warszawą, gdzie 3 września 1961 roku w wieku 82 lat zmarł. Tuż przed śmiercią ponownie otrzymał Złoty Krzyż Zasługi. Pochowany został na cmentarzu ewangelicko-augsburskim na Woli w Warszawie (aleja 34, grób 32).



Adam Benedykt Bisping

Kamczatka



Tomek wielokrotnie namawiał nas na ten wyjazd. Pojechaliśmy w 5 osób: Tomek, mój kuzyn – Jan oraz Jarek, Darek i ja. Organizatorem było niemieckie biuro „Russian Tours” Edwarda Schloninnga. W trakcie przygotowań do wyprawy, 10 kwietnia rano, dowiadujemy się o katastrofie prezydenckiego samolotu. Zastanawiamy się czy lecieć, ale nasz lot miał się odbyć ponad dwa tygodnie po tej katastrofie, więc decydujemy się na wyjazd. Wylot z Warszawy do Moskwy, tam zmiana terminala na lot

do Pietropawłowska Kamczackiego. Na lotnisku spotykamy Polaka mieszkającego na stałe w Moskwie, pana Mirosława Medyńskiego, który jest organizatorem polowań w Rosji i ma firmę, która preparuje trofea myśliwskie i wysyła je, po załatwieniu wszelkich dokumentów, do Polski (nie wiemy od kogo się dowiedział, że będziemy na lotnisku i że możemy być zainteresowani jego usługami).

Po 10 godzinach lotu lądujemy w Pietropawłowsku Kamczackim. To pięknie położone wokół góry

z czynnymi wulkanami portowe miasto. Przez wiele lat należało do tzw. miast zamkniętych z uwagi na istniejące tam bazy wojskowe. Niestety nie ma ono starówki, tylko same bloki powojkowe. Dzięki Tomkowi, który był na Kamczatce już kilka razy (strzelił rekordowego losia - do tej pory rekord świata), jedziemy na targ i kupujemy kilka wiader kawioru, zarówno czarnego, jak i czerwonego, śmietany, kilka kilo suszonych ryb, dwieście jaj kurzych, no i dla dezynfekcji jakieś tam kartony płynu

„dezynfekcyjnego”. Zakupy te, jak się później okazało, uratowały nas chyba od głodu.

Na drugi dzień rano wyjazd do Kozierowska, jazda prawie cały dzień busem i nagle po 10 godzinach, na drodze czeka na nas helikopter. Przeładujemy cały nasz sprzęt myśliwski, ubraniowy i jedzeniowy i okazuje się, że lecimy dwie godziny do bazy około 300 km od Kozierowska. Baza, w której mamy być ponad 10 dni, to cztery drewniane budynki bez żadnego ogrodzenia i bez dostępu dla ludzi. Tylko niedźwiedzie mogą się tam dostać. Pierwszy budynek to królestwo Luby - kucharki, która niestety nie umie gotować. Koledzy uważali, że lepiej samemu zrobić jajecznicę niż żeby zrobiła ją Luba, ponieważ w jej wykonaniu będzie po prostu niejadalna. Tam jedliśmy na szczęście nasz kawior i ryby, dezynfekowaliśmy ręce i gardło po każdym posiłku i dlatego przeżyliśmy. Drugi budynek, to miejsce spania Weroniki - przedstawiciela biura polowań z Pietropawłowska Kamczackiego i Wiery, teoretycznie tłumacza z rosyjskiego na niemiecki, bo byliśmy jako grupa niemiecka. Trzeci, to lokum naszego podprowadzającego oraz Saszy, który obsługiwał całą bazę. Budynek czwarty to nasza sypialnia i miejsce na umycie rąk i zębów, z nowoczesnym kranem i kanalizacją - to znaczy wiadrem z gwoździem, po wciśnięciu którego sączyła się woda, o ile była w wiadrze. Za obozem była sławojka. Była też bania, do której chodziliśmy codziennie - była to nasza kąpiel i relaks. W pobliżu bani stał czołg z demobilu. Służył on nie tylko do poruszania się po terenie, ale był także miejscem noclegowym Rusłana.

Pierwszy dzień to naturalnie strzelnica - wszyscy przystrzeliwaliśmy naszą broń. Potem pierwsze wyjazdy. Ja polowałem z Ruslanem, ale wyjazdy były w czwórce, żeby móc się wspierać w razie jakiejś awarii, bo w innym przypadku byłby na pewno duży problem - brak jakiegokolwiek łączności. Nawet telefon satelitarny nie najlepiej działał. Podróżowaliśmy w sankach, przyczepionych do skuterów śnieżnych, co było dla mnie dużym dyskomfortem, bo spaliny waliły mi prosto w twarz. Jeździłem ze sztucerem w jednej ręce i z aparatem fotograficznym w drugiej. Bardzo bałem się, aby tych sprzętów nie zgubić.

Pierwsze myśliwskie spotkanie, to wjazd na tokujące głuszce skalne! Na moją prośbę (bo nie mogłem się oprzeć), strzeliłem ze sztucera i tak pozyskałem pierwszego głuszca na Kamczatce. Niestety Luba nie zrozumiała, że on nie jest strzelony na rosół i że nie wolno go skubać, i gdy wróciłem następnego dnia, to już nie było mojego głuszca, tylko fatalny rosół, a jego pióra zostały spalone w ognisku.

Następne dni, to spotkania z niedźwiedziami.



Gdy zobaczyłem pierwszego, to złapałem aparat fotograficzny i zacząłem robić zdjęcia. Rusłan mi tylko krzychał „malenkij nie strielaj”. Skuter jechał po oceanie śniegu, chyba z 60 km na godzinę, a ja za nim w saneczkach, bez żadnych możliwości komunikacji z moim szoferem. Nagle widzę, że przede mną skuter leci w dół, w niewidoczne zapadlisko w śniegu, a ja wylatuję jak z procy w powietrze i lecę jak piłeczka, trzymając w jednej ręce sztucer, a w drugiej aparat. Wpadam do śniegu po szyję. Z doświadczenia, którego nabyłem jeżdżąc na nartach wiem, że gdy leci lawina śniegu, to trzeba natychmiast się wykopywać, ponieważ śnieg z lawiny szybko zamarza i maleją szanse na wyjście. Zacząłem więc walczyć ze śniegiem, chcąc jak najszybciej wydostać się na jego powierzchnię. Krzyczę: „Rusłan dawaj ruku, bo inaczej Cię zastrzelę”. Wyciągam nogę i tracę buta, wkopuję się więc znowu po niego i walczę ze śniegiem. Później Rusłan już mi bardzo pomógł i mogliśmy kontynuować polowanie.

Pierwszego niedźwiedzia strzelił Tomek. Po trafieniu na trop niedźwiedzia gnaliśmy za nim przez godzinę. W pewnym momencie Tomek ze swoim podprowadzającym zajechał mu drogę, wyskoczył z sań i strzelił, ale niedźwiedź jest bardzo mocny, więc musieliśmy go jeszcze prawie trzysta metrów dochodzić. Tomek znowu podjechał i dostrzelił go.

Było to wielkie przeżycie. Ja miałem swoją przygodę z niedźwiedziem w następnym dniu, z tym, że po moim strzale niedźwiedź zrolował jak zajac. Moja rozpacz była po strzale. Wówczas okazało się, że podprowadzający niedźwiedzia na miejscu biela, zabierając tylko skórę, głowę, penisa oraz woreczek z żółcią, który podobno w Chinach ma wartość około 5000 USD. Natomiast takie piękne





mięso zostawiają na miejscu, ponieważ najbliższy mikroskop jest około 500 km od nas i nie można zbadać mięsa na obecność włośni, przez co jest niekonsumpcyjne. Wtedy serce bolało mnie bardzo i żałowałem, że jednak pozyskałem go niepotrzebnie. Lepiej poczułem się następnego dnia, gdy na miejscu, gdzie go zostawiliśmy zobaczyłem, że został właściwie całkowicie zjedzony przez inne zwierzęta!!!

Podczas dziesięciodniowego pobytu prowadziliśmy różne rozmowy. Między innymi tłumaczka, która chyba była tam służbowo dwukrotnie, wciąż wypytywała, czym zajmujemy się w Polsce. Powiedziałem jej, że ja jestem generałem Wojska Polskiego, mój jeden kolega jest ministrem w rządzie, drugi jest znanym polskim hrabią, a pozostali bogatymi przemysłowcami. Więcej pytań mi już nie zadawała, tylko rano witała mnie zawsze słowami „dzień dobry Panie generale”. W dniu 9 maja powiedziałem jej, że dla uczczenia święta niepodległości powinniśmy urządzić pochód i wywieść narodową flagę Rosji, co Sasza wykonał, wieszając czerwoną szmatę jako flagę. Zaproponowałem, że jako generał, będę przyjmował ich pochód. Tak bawiliśmy się dzień przed odlotem z bazy, mając nadzieję, że pogoda będzie OK i że helikopter po nas

przyleci. Na zakończenie naszego pobytu była piękna uroczystość wyłożenia wszystkich skór z naszych niedźwiedzi i zrobienia pamiątkowych fotografii. Pokot był imponujący - 6 niedźwiedzi. Siódmego kolega Jerek strzelił w ostatnim dniu. Wylot był bardzo ciężki, ponieważ sprzętu mieliśmy więcej, niż gdy przylecieliśmy i obciążenie naszego statku powietrznego było tak wielkie, że nie mogliśmy wystartować. Całą drogę się modliłem o bezpieczny powrót. Dzięki Panu Bogu tym razem nam się udało.



Adam Benedykt Bisping
inż. zootechnik, absolwent Akademii Rolniczej w Krakowie. Członek PZŁ od 1979 roku od samego początku związany z KŁ Darz Bór w Krakowie. Łowczy w KŁ Darz Bór, członek Kół: Sosnówka w Kalinie Wielkiej i Czajka w Krakowie. Delegat na Krakowski Zjazd Okręgowy, Członek Komisji Oceny Prawidłowości Odstrzału.



BEKOWISKO

RYSZARD
ADAMUS



Diana

w grodzie
KRAKA



Łowiectwo w ostatnich czasach przechodzi duże zmiany – z jednej strony spotyka się z nieznanym wcześniej na taką skalę brakiem akceptacji, z drugiej liczba myśliwych nieustająco wzrasta. Jednocześnie zwiększa się również liczba polujących kobiet, czyniąc je pełnoprawnymi uczestnikami łowów. Obecnie prawie w każdym kole spotykamy polujące panie – rzecz kiedyś całkowicie sporadyczna. Są wśród nich również i takie, które w łowiectwie są od dawna i z rozległej perspektywy obserwują zmiany w nim zachodzące. Jedną z nich jest Hanna Karczmarska – znana krakowskim myśliwym, leśnik, główny specjalista RDLP w Krakowie, zajmująca się koordynacją szeroko rozumianych działań związanych z łowiectwem w krakowskiej dyrekcji.

Jej ojcem był Jan Kubok – znany na opolszczyźnie myśliwy i działacz łowiecki. Przez wiele lat, prawie 20, był Wojewódzkim Konserwatorem Przyrody w Opolu. Znał każdy zakątek Opolszczyzny. Przywiązał się do tej ziemi, chociaż pochodził z Rudzicy, majątku na Śląsku Cieszyńskim, gdzie stawiał pierwsze kroki na myśliwskiej ścieżce. Po ukończeniu studiów na Wydziale Leśnym w Poznaniu, rozpoczął pracę w nadleśnictwach Hażle, Kośmidrach, Kobiórze, Pszczynie. Później pracował na stanowisku Wojewódzkiego Konserwatora Przyrody w Opolu. Równocześnie działał na niwie łowieckiej – tak na poziomie koła, jak i później w strukturach

szczebla wojewódzkiego, będąc Przewodniczącym Okręgowej Rady Łowieckiej.

Trafnie odczytując zainteresowania córki, powoli i z troską wprowadzał ją w skomplikowany świat łowiectwa. Wspólne wędrówki po lesie, spotkania ze zwierzyną (szczególnie to oko w oko z lochą prowadzącą warchlaki), wyjazdy na ulubione polowania na pióro, uczyniły decyzję córki o zostaniu myśliwym wręcz oczywistą, podobnie jak wybór przez nią zawodu leśnika. Polować zaczęła w 1987 roku. Gdy na pierwszym polowaniu zrobiła dubleta do kuropatw, ojciec – mentor wymagający i jednocześnie troskliwy, mógł być z niej dumny. Także w 1987 roku rozpoczęła studia na Wydziale Leśnym Akademii Rolniczej w Krakowie.

Pod koniec lat dziewięćdziesiątych rozpoczęła pracę w krakowskiej Regionalnej Dyrekcji Lasów Państwowych. Łowiectwo staje się nie tylko jej pasją, ale także jednym z zagadnień zawodowych, a kontakty z myśliwymi codziennością. Podczas wielu lat praktyki zawodowej wypracowała sobie osobisty pogląd na temat łowiectwa we współczesnym społeczeństwie.

I tak, jeśli ma ono przetrwać w formie przez nas akceptowalnej, to znaczy z zach-





waniem aspektów kultury i tradycji, to konieczny jest wysoki profesjonalizm wszelkich działań myśliwych. Profesjonalizm rozumiany nie jako zawodowstwo sensu stricto, ale jako potrzeba ciągłego podnoszenia swoich kwalifikacji, bo tylko wówczas jesteśmy w stanie właściwie gospodarować populacjami zwierzyny oraz obronić własne poglądy i wartości. Tak więc niedzielny hobbysta to już zdecydowanie za mało – myśliwy powinien być świadomy funkcjonowania mechanizmów przyrody i być znawcą biologii i zachowań zwierzyny. Ekspansywne działania człowieka powodują coraz więcej negatywnych interakcji, np. na terenie miast i terenów silnie zurbanizowanych.

Jednocześnie współczesny myśliwy powinien być silnie związany z tradycją łowiectwa polskiego, czerpiąc z bogatych zasobów jej kultury. W przekonaniu mojej rozmówczynie tylko tak jesteśmy w stanie obronić akceptowalny dla nas model współczesnego łowiectwa. Alternatywą jest planowa, ztechnokratyzowana redukcja gatunków istotnych gospodarczo, bez uwzględ-

nienia aspektów kulturowo-łowieckich. Mając świadomość powyższych zagrożeń, nie sposób nie zgodzić się z poglądem mojej rozmówczynie. Za tym przekonaniem poszły konkretne programy edukacyjne.

Jednym z nich jest konkurs sygnalistów myśliwskich „O róg Zbramira”, którego kolejne edycje wylaniają pasjonatów niegdyś zapomnianej sztuki gry na rogu myśliwskim. Ma to bardzo wymierny efekt – na polowaniach w kołach coraz częściej rozbrzmiewają sygnały łowieckie.

Głośny projekt (i to w dosłownym słowa znaczeniu) szkolenia z wabięcia zwierzyny, to prawdziwy hit. Efektem jest rzesza świetnych wabiarzy w krakowskich OHZ-ach, podnosząca nie tylko efektywność łowów, ale i nadająca im wyższy, szlachetniejszy poziom. Sam będąc uczestnikiem takiego kursu, byłem pod wrażeniem tak profesjonalizmu prowadzącego zajęcia, jak i wysokiego poziomu uczestników zajęć. Co ciekawe, moja



rozmówczynie, wysoko ceniąc polowanie na rykowisku – co roku jeździ na nie w góry- woli przeżywać je bezkrawo, sam strzał odkładając na czas, gdy nie zakłóci już ich godów.

Krakowskie OHZ-y to przede wszystkim zwierzyna gruba, toteż warszaty z pracy z tropowcami wychodzą naprzeciw potrzebom podprowadzających myśliwych. To wymóg etyczny wobec zwierzyny, na którą polujemy, jak i zwiększenie efektywności łowów w postaci większej liczby podniesionej zwierzyny. Tu anegdota. Na polowaniu na kaczki moja rozmówczynie wysłała psa (ulubiony terier irlandzki) po aport z wody. Pies na tyle długo się z tym ociągał, że zniecierpliwiony mąż zrzucił ubranie i popłynął po kaczki, przynosząc ją swej dianie.

Świadczy to nie tylko o oddaniu i zrozumieniu pasji żony.

Kolejnym z działań realizowanych w krakowskiej RDLP jest podnoszenie poziomu umiejętności strzeleckich poprzez organizowanie corocznych zawodów dla małopolskich leśników. Umiejętność celnego strzelania przekłada się bowiem na efektywność realizacji planów pozyskania zwierzyny.

Kolejne działania dotyczą szkód w uprawach rolnych – kości niezgody między PZŁ-em, a środowiskiem rolniczym. Szkolenia i próba znalezienia rozsądnego kompromisu przyczyniają się do unormowania tego trudnego problemu.

Gdy pytam co by zmieniła w obecnym łowiectwie, mówi że przeniosłaby ciężar z trofeistyki na model bardziej skandynawski, czyli polowanie jako połączenie rekreacji ze zdobywaniem pożywienia. Takie motywy polowania są o wiele bardziej „strawne” dla ogółu społeczeństwa. Jednocześnie jednak uważa, że dobrym pomysłem jest honorowanie myśliwych medalem trofeistycznym krakowskiej RDLP.

Rozmawiamy jeszcze o innych problemach współczesnego łowiectwa – moratorium na odstrzał łosi (ich forpoczty już się pojawiają na obrzeżach Krakowa), oraz problemie wzrostu populacji wilka. Prawna ochrona tego gatunku poza znaczącym wzrostem wielkości jego populacji skutkuje również i tym, że traci naturalną bojaźń przed człowiekiem, co w przypadku drapieżnika tak dużego, może rodzić szereg kon-

fliktów. Problem ten widzą myśliwi i leśnicy, nie jest on dostrzegany przez resztę społeczeństwa.

Na koniec jeszcze pytanie o najpiękniejsze wspomnienia łowieckie. Tu bez wahania wymieniamy wspólne polowania z Ojcem, również te najwcześniejsze, jeszcze bez strzelby. W tym kontekście moje kolejne pytanie o obecność dzieci na polowaniu, wydaje się niepotrzebne.

Kończąc naszą rozmowę, jako że okres przedświąteczny, życzę mojej rozmówczynie wszelkich pomyślności oraz sukcesów na polowaniu wigilijnym. Podejrzewam, że zwierz, który na nią wyjdzie, zostanie w tym szczególnym dniu ulaskawiony.

Hubert Zwinczak



Patryk Sikora

JESIEŃ W BESKIDZIE NISKIM



Jesienny rapsod

Mieczysław Mniszek Tchorznicki

Wyszedłem przed kolibę. Oczy przyzwyczajone do światła nie widziały nic w mroku panującej jeszcze nocy. Tylko tysiące gwiazd błyszczały złotymi ćwiekami na kopule nieba. Mrozu wprawdzie nie było, ale dojmujący chłód pozwolił spodziewać się na rano przymrozku. Z daleka dochodził głośny, pełny ryk jelenia. To znany mi dwunastak głosił swą miłość i władztwo nad harem czterech łań.

Już czwarty dzień byłem w górach na rykowisku. Niestety, do strzału nie doszedłem. Widziałem wprawdzie kilka byków, ale nic godnego uwagi. Najlepszy z nich to właśnie ryczący dwunastak. Ponieważ stale, codziennie, odzywał się w jednym miejscu, postanowiłem, że w ostatnim dniu, o ile nic nie strzelę, spróbuję szczęścia na niego.

Przewodnik mój, sześćdziesięcioletni Wasyl, opowiadał mi o grubym czternastaku i innych bykach, których wieńce wydawały się warte trudów.

Powoli oczy przyzwyczały się do ciemności i wnet ruszyliśmy wąską ścieżką górską w dół, aby po długim, prawie dwugodzinnym marszu, wydostać się na zrąb na stoku zarośniętego pasma gór. Szarzało, gdy zmachany niesamowicie usiadłem na pniu zwalonej jodły. Złożywszy na ziemi plecak z prowiantem, rozlokowawszy się możliwie najwygodniej, oczekiwałem na rozwój wypadków. Wasyl zniknął jak duch w szarzyźnie wstającego dnia, aby na drugiej stronie stoku obserwować czy tam nie wychodzą.

Znajomy dwunastak porykiwał bezustannie, ale oprócz niego żaden inny byk się nie odzywał.

Jak było do przewidzenia, lekki przymrozek zaczynał szronić krzewy i paprocie. Szczelniej zapiałem wszystkie guziki lodenowej kurtki, bo dojmujący chłód dobierał mi się do ciała.

Coraz lornetką lustrowałem całe otoczenie, ale niczego nie dostrzegałem.

Już wzeszło słońce, gdy nagle zdawało się, że coś się poruszyło obok gęstego krzaku leszczyny. Wolno uniosłem lornetkę i zobaczyłem w odległości jakichś stu metrów bacznie mnie obserwującą - łań.

Zamarłem bez ruchu. Tylko ręka zaczęła mi drgać, gdy zbyt długo musiałem trzymać lornetkę przy oczach. Wreszcie łań odwróciła głowę i skubiąc liście, ruszyła w górę - za nią druga, trzecia i na końcu byk. Znów lornetka do oczu, ale tylko wieńce słabego dziesiątaka ukazał się mym oczom. Byk szedł za łańmi, przystając od czasu do czasu, zarzucał wieńce na grzbiet, wyciągał pysk, jakby chciał ryczeć, ale głosu nie dawał. Czy czuł się za słaby, czy bał się zdradzić ze swą obecnością i dlatego milczał? A może wiedział o istnieniu innego, grubszego jelenia i wolał ustąpić z placu bez walki...

Cudnie wyglądał na tle błękitnego nieba. Cudny twór przyrody, wspaniale harmonizujący z tłem otoczenia.

Brąz, miedź i mosiądz zlewały się w jeden wielki szal kolorów jesiennych, wśród których złoto i purpura znaczyły się jaskrawymi plama-

mi. Gdziekolwiek i zielen jeszcze połyskiwała. Złote pnie wysokich sosen i szare pnie jodeł odbijały na swych strzałach promienie wschodzącego słońca. Tylko cisza panowała teraz całkowicie. Ptaki milczały. To nie wiosna, gdy puszcza kipi gwarem ptasim. Odleciały już niektóre, inne zbierały się do odlotu. Dzieciół kuł na sosnie, on tu pozostanie przez całą zimę. On jeden z nielicznych pozostanie wierny tym stronom, nie tęskni do ciepła i słońca, wystarczy mu zaciszna dziupla, gdy śnieżna zamieć zawyje. A czasem nad górami popłynie jakby skarga. To klucze żurawi lecą na południe. Ich płaczliwe tony odbijają się echem od wierchów, wróca, uderzą o ściany boru, aż całe góry roztkliwią się ich dźwiękiem.

Około dziesiątej wrócił Wasyl. Widział też dziesiątaka z trzema łańmi. Prawdopodobnie był to ten sam byk, którego i ja widziałem.

Nie mogłem zrozumieć, dlaczego byki milczą. Ranny przymrozek pozwalał spodziewać się dobrego rykowiska. Prowiantami z plecaka raczyliśmy się z Wasylem, gdy nagle grube stękanie zelektryzowało nas. W trawę poszły kanapki, ręka chwyciła sztucer. Nim zdążyłem dostrzec ruch daleko za nami i podnieść lornetkę do oczu, już Wasyl zobaczył byka i szepnął: — Heto, pane on!

W szklach ujrzałem las odnóg. Czarny wieńce i moc białe błyszczących odnóg. To był wieńce! Wysoki, rozłoga olbrzymia. Byk nie ryczał. Był sam, tylko od czasu do czasu pomrukiwał. Długa grzywa okrywała szyję i pierś zwierzęcia. Wspaniały był. Nie mogłem oczu oderwać od niego. Trzeba jednak było coś postanowić. Byk to ułatwił. Wolno zaczął się oddalać, wreszcie znikł w dole wśród gęstwy drzew.

— Czy to ten czternastak — spytałem Wasyla. — Ne pane, to on — kniaź — brzmiała odpowiedź.

Wieczorem Wasyl opowiedział mi, że co roku na kilka dni zjawia się w czasie rykowiska gruby byk, którego nazywają tu „kniazem”. Nieraz myśliwi go widzieli, ale żaden nie doszedł do strzału. Skąd przychodzi „kniaź” i gdzie znika — nikt nie wiedział, ale znają go wszyscy gajowi.

Wróciliśmy do koliby. Wnet Wasyl rozpałił ogień i nastawił garnki. Dla mnie gotował wodę na herbatę, dla siebie mamalygę, narodową potrawę Huculów. Zjadłszy skromny posiłek, położyłem się spać. Nie mogłem jednak zasnąć, wciąż widziałem przed sobą „kniazia”, o nim marzyłem.

O trzeciej po południu znów byłem na stoku; Wasyl poszedł na inny grzbiet, aby tam obserwować. Znów cisza zupełna. Cóż u diabła? Czy byki się nie odezwą?

Koło piątej zaczął ryczeć dwunastak. Z boku gdzieś odpowiedział mu drugi byk. Po głosie poznałem, że to jakiś „starszy pan”. Postanowiłem go podchodzić, choć bałem się czy gdzieś nie spłoszę „kniazia”, który powinien znajdować się niedaleko.

Zejsść na dół po wydeptanej Ścieżce nie było sztuką, ale wejść na górę, po mocno zarośniętym zrębie, wśród płataniny jeżyn, leszczyny, zeschniętych paproci i suchych, gałęzi, można było tylko z wielkim wysiłkiem. Toteż gęsty mrok już panował, gdy byłem w połowie góry. Niski bas mocnego byka odzywał się niedaleko. Ale dalej bałem się podchodzić. Jeleń zbliżał się do mnie. Jeszcze chwila a zobaczę go. Wąska luczka wśród krzaków, w niej to spodziewałem się dojrzeć byka. Ale też z każdą chwilą robiło się ciemniej. Wtem luczka się wypełniła i przez szkła lornetki zobaczyłem szyję, łeb i wieńce grubego czternastaka. Podniosłem sztucer, ale mrok nie pozwolił na dokładne mierzenie. Musiałem zrezygnować ze strzału. Może przy użyciu lunety mógłbym być strzelec, ale bez niej wolałem nie ryzykować strzału, spłoszenia jelenia lub, co gorzej, zranienia. Byk chwilę jeszcze stał, wreszcie wolno, nie spłoszony, znikł z oczu.

Wracałem do koliby. Idąc potykałem się wciąż o leżące pnie, a ubranie szarpały mi powrozy jeżyn. Po godzinie takiej wędrówki wydostałem się na znajomą ścieżkę, prowadzącą do koliby, w której wkrótce się znalazłem. Tu zastałem Wasyla. Opowiedział mi, że widział dobrego dwunastaka z trzema łańmi, słabego dziesiątaka i wreszcie, gdy zupełnie ściemniało, jeszcze jednego byka, ale z powodu ciemności określić go nie mógł.

W nocy obudził mnie monotony szum deszczu. Ubrałem się i wyszedłem przed kolibę, aby stwierdzić, że sensu nie ma w taką pogodę szukać szczęścia.

Około południa wypogodziło się o tyle, że deszcz przestał padać, ale tak się ociepliło, że zmniejszyły się bardzo szanse powodzenia myśliwskiego. Skoro wyszedłem z koliby, ujrzałem w dole morze mgły. Zwały białej waty otulały las, jedynie wierzchołki gór wolne były od woalów... Mimo to ruszyłem na stare miejsce. Ale tego popołudnia i wieczora nic nie słyszałem, a widziałem tylko rogacza, który blisko mnie przeszedł. Wracając wśród mgieł, w całkowitym mroku potknąłem się i upadłem tak nieszczęśliwie, że w bolesny sposób rozbiłem kolano o wystający pień ściętego drzewa. Ledwo dokuśtykałem się do koliby. Tu zrobiłem okład z zimnej wody, innych bowiem medykamentów, oprócz aspiryny, nie miałem przy sobie.

W nocy, przy każdym ruchu budziłem się z bólu, a gdy Wasyl około trzeciej mnie zbudził, stwierdziłem niesamowite spuchnięcie kolana. Zmieniłem znów zimny okład i opierając się na dwóch kijach, służących mi za laski, udałem się w drogę. Plecak niósł Wasyl, ja tylko sztucer i lornetkę. Skierowałem się na stałe moje stanowisko. Droga, którą zwykle przebywałem w dwie godziny, dziś zabrała mi znacznie więcej czasu. Słońce już wysoko świeciło, gdy wreszcie zmęczony dobrnąłem do miejsca.

Dzień był przepiękny. Jesienne kolory, po wczorajszym deszczu, jakby stały się jeszcze bardziej intensywne. Czułem się, jakby otoczony wirem tańczących kolorów i cieni, oczu nie mogłem oderwać od tego kłębowiska barw. A nad tym wszystkim cudne, błękitne niebo bez chmur. Tylko — jak na rykowisko — za ciepło.

Ale widocznie i na jelenie ta gra barw też działa, bo zewsząd słychać było ryki. Dwunastak odzywał się na swoim zbocz, niedaleko słychać było głęboki bas czternastaka, dalej gdzieś dwa słabe byki odzywały się wysokimi głosami. I znów tego ranka usłyszałem ryknięcie „kniazia”. Jakby spod ziemi wydobywał się głęboki bas, jakby mruknięcie z trudem wychodziło z gardzieli. To był głos! Na chwilę wszystkie byki milkły, jakby przerażone, ale wnet „zapiewało”, jak nazwałem dwunastaka, przerwał ciszę. Za nim odezwały się inne.

Chciałem podchodzić czternastaka, ale ból w nodze zmusił mnie do pozostania na miejscu. Wówczas Wasyl zawabił. Czynił to wprawnie na ręce. Pomrukiwał głosem średniego byka, a czynił to tak udolnie, że wkrótce czternastak odpowiedział mu z irytacją. I szedł dwugłos. Człowiek zwabił zwierzę w zasadzkę. Ale czy zwierzę instynktem wiedzione przeczuło, co się święci, czy Wasyl wydawał fałszywy ton, dość, że w pewnym momencie, czternastak odpowiedział pełnym wyrzutem krtani, ale w środku ryku urwał, a późniejsze rzadkie mruknięcia oddalały się coraz bardziej. Znów rano nie przyniósł upragnionej zdobyczy.

Ponieważ noga bolała mnie mocno i puchła coraz bardziej, postanowiłem odpocząć. Wasyla posłałem do koliby po żywność, sam zaś otuliwszy się lodenem, zasnąłem pod nawisem wiekowego świerku.

Obudziłem się z uczuciem, że kłós na mnie patrzy. Nie ruszając się otworzyłem oczy i ujrzałem sarnę, stojącą o kilka kroków, wpatrzoną w dziwny twór - we mnie. Nieopatrzny ruch spłoszył ją. W lekkich lansadach znikła mi z oczu.

Niedługo po tym przyszedł Wasyl. Gorąca

herbata z termosu, chleb z masłem i rybki jakieś z puszki, zaspokoiliły głód, a zapalony papieros smakował mi wyjątkowo. Ból w nodze zmalął, choć opuchlizna nie schodziła. Byłem pełen nadziei i najlepszych myśli.

Po południu znów się odezwały byki, ale oprócz młodego ósmaka, nic nie widziałem, a podchodzić, ze względu na nogę, nie mogłem. Powrót do koliby był straszny. Kolano znów dawało mi się mocno we znaki. Już kije nie pomagały i musiałem oprzeć się na Wasylu.

Jutro ostatni dzień mego pobytu w górach. Jeszcze jeden ranek i wieczór i pojutrze wracam do domu. Ostatnia szansa.

— Mróz pane — tymi słowami obudził mnie Wasyl, jak zwykle o w pół do trzeciej. Ubrałem się szybko. Ból w nodze znów mniej dokuczał. Odczułem znaczną poprawę. A może pomogło lekarstwo Wasyla, który wieczorem obłożył mi kolano świeżym twarogiem.

Dziś przybyłem na czas na miejsce. Szaro było jeszcze na świecie, a silny szron srebrzył trawy i kiście paproci. Usiadłem na swojej jodle. Wasyla posłałem na inny zrąb. Chciałem być sam. Ostatni poranek w karpackiej kniei. Myśli kłębiły się w głowie, a nadzieja zdobycia wieńca stawała się coraz bardziej niepewna.

Może była już godzina ósma, może później, gdy nie dalej jak o dwieście kroków odezwał się byk. Poznałem po głosie czternastaka. Wstałem i mocno kulejąc zacząłem go podchodzić. W pewnym momencie uderzyłem bolącym kolaniem o wystającą z ziemi gałąź i z bólu przykłęknąłem.

W tej chwili zadrzałem, bo o jakie pięćdziesiąt kroków ode mnie ryk byka rozdarł powietrze, a przez krzaki dojrzałem ruch. Podniosłem lornetkę do oczu. To łania przechodziła przez ścieżkę wydeptaną przez jelenie. Szybki ruch podnoszonego sztucera, zmierzylem się na ścieżkę i w momencie, gdy ujrzałem ciemny wieniec z białymi końcami — strzeliłem.

Po strzale nie wiedziałem czy trafiłem. Byk był w skoku, gdy strzelałem, a tętent uciekającej łani nie pozwalał mi usłyszeć czy byk padł, czy też poszedł. Usiadłem na ziemi, zapaliłem papierosa. Powoli uspakajały się nerwy. Cicho, bezszelestnie zjawił się Wasyl. Udaliśmy się razem na miejsce zestrzału. Tuż za ścieżką, wśród gęstych jeżyn, leżał kapitalny czternastak. Padł w ostatnim skoku. Leżał z podkulonymi przednimi nogami, daleko wyciągnąwszy szyję. Wśród płataniny jeżyn błyszcząły wypolerowane, białe końce odnóg. Oddałem Wasylowi sztucer i poleciłem wrócić z koźmi.

Nie miałem siły wracać do koliby, noga spr-

wiała ból wielki, a zmęczenie po kilkudniowej wędrówce po górach dawało się również we znaki. Teraz, kiedy napięcie nerwowe opadło, oświadczyły mi ból i zmęczenie.

Usiadłem blisko mego jelenia; wzrok stale spoczywał na wspaniałym wieńcu. Podziwiałem wysokość, rozłogę, uperlenie, kolor. Ręka raz po raz sięgała do wieńca, mierząc coraz w innym miejscu grubość tyki.

Jak długo tak siedziałem — nie wiem.

W pewnej chwili usłyszałem trzaśnięcie gałązki. Obejrzałem się automatycznie za sztucercem, zapomniawszy, że oddałem go Wasylowi, by odniósł do koliby.

Drugie trzaśnięcie... Wiedziałem teraz, że idzie zwierzyna; ale co? Jelenie czy dziki?

I nagle, na ścieżkę, na dwadzieścia kroków ode mnie, w pełni słonecznego dnia wyszedł on, „kniaź”. Stał wpatrzony we mnie, jakby pytał, co robi intruz w jego królestwie.

Patrzyliśmy na siebie. Ja podziwiałem jego urodę, a on... może instynktem wiedziony, -wiedząc, że nie mam przy sobie broni, łaskawie pozwalał mi zachwycać się tym pięknem. Wreszcie majestatycznie przekroczył leśną ścieżynę i znikł w gęstwinie.

Tak zęgnął mnie w roku 1936 knieja karpacka.

Mieczysław Mniszek Tchorznicki

Mieczysław Mniszek Tchorznicki (1907 -1950). Przedwojenny działacz i pisarz łowiecki. Absolwent Wydziału Matematyczno - Przyrodniczego na Uniwersytecie Warszawskim. W latach 1938-1939 pełnił funkcję referenta łowieckiego w Dyrekcji Lasów Państwowych w Łucku. Po wojnie obejmuje stanowisko Dyrektora Biura Polskiego Związku Łowieckiego, później pełni funkcję inspektora, a następnie konsultanta łowiectwa w Ministerstwie Rolnictwa. Od 1947 r. do roku 1950 pracuje na stanowisku Naczelnika Wydziału Łowiectwa w Ministerstwie Leśnictwa.

W Polskim Związku Łowieckim działa od 1928 r. jako łowczy powiatowy, członek Rady Wojewódzkiej oraz członek Komitetu Redakcyjnego Łowca Polskiego. W roku 1945 zostaje wybrany na członka Rady Naczelnej i Komitetu Wykonawczego, a ponadto pełni funkcję sekretarza Polskiego Związku Łowieckiego i członka Komitetu Redakcyjnego Łowca Polskiego.

Pozostawił bogaty dorobek piśmienniczy, obejmujący zarówno prace o charakterze naukowym i popularyzatorskim, jak i szereg dzieł literackich - opowiadań i powieści.

*Do najbardziej znanych należą:
Zielonogłowy
Poeta - myśliwy - pisarz (Julian Ejsmond)
Na rykowisku
Oologia ptaków towarzyszących
Podstawy etyki łowieckiej*

RUMUNIA

Hubert Zwinczak



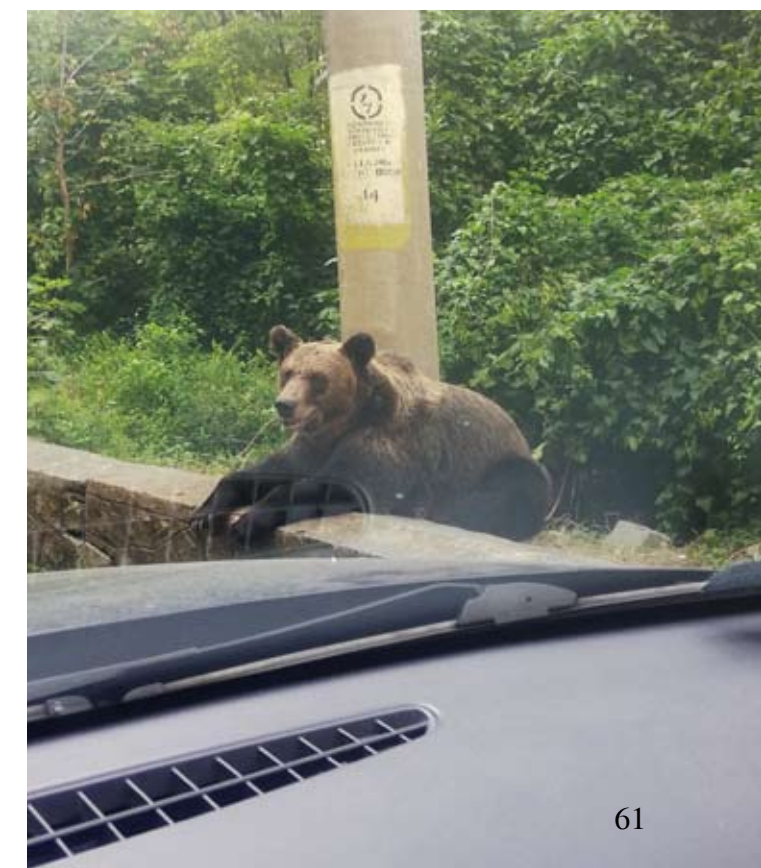
Ponieważ, jak wiadomo, podróże kształcą, (ale tylko wykształconych), do wyjazdu do Rumunii przygotowywałem się bardzo starannie. Kraj z jednej strony egzotyczny, a jednocześnie nam bliski – niegdyś wspólna granica, związki w okresie międzywojennym, Huculszczyzna czy wreszcie wspólne nam Karpaty Wschodnie. Z drugiej - Transylwania, legenda Drakuli, fascynująca sztuka cerkiewna, kusily do bliższego poznania tej niezwyklej krainy. Studiowałem więc z zapalem bedekery, śledziłem w internecie relacje z wypadów na sienkiewiczowską „multańską stronę”.

było na wjeździe do Rumuni. Później sytuacja się nieco normowała, ale nadal było bardzo malowniczo, trochę w klimacie filmu Kusturicy „Czarny kot, biały kot”. No ale jak będzie teraz, po prawie ćwierćwieczu? I tu miłe zaskoczenie. Pierwszym, co uderza, to naprawdę niezłe drogi (również te lokalne), oraz czystość. Widać dostatność mieszkańców wsi czy miasteczek i to nie tylko w miejscowościach turystycznych.

Rumunia to, obok interesującej, zróżnicowanej architektury, przede wszystkim zapierająca dech w piersiach natura. Dzika przyroda Karpat Wschodnich, Góry Fogaraskie, przełom Dunaju i wiele innych miejsc o unikatowym przyrodniczo charakterze czynią te tereny niezwykle atrakcyjnymi. Jednym z nich jest szosa transfogaraska. Pnąca się w górę niezliczoną ilością serpentyn, by w końcu osiągnąć przełęcz na wysokości 2000 metrów. Niezwykle panoramy, otwierające się za kolejnymi zakrętami powodują dosłownie zawrót głowy. Z kolei zjazd na drugą stronę, to sprawdzian dla hamulców auta i umiejętności kierowcy. Tam czeka dosyć specyficzny komitet powitalny. Oto na murku ograniczającym drogę siedzi ogromny niedźwiedź. W pierwszej chwili myślałem, że to ofiara wypadku – tułów wisi mu na stronie lasu, a wielki łeb z wywalonym jęzorem na drogę. Dyszał przy tym ciężko, bo dzień był upalny, ale ogólnie był w życiowej formie. Moja dzielna żona, jak przystało na żonę myśliwego, zachowała zimną krew, mimo że od misia dzieliło ją tylko pół metra i szyba samochodu. Zmarszczyła jedynie brew, a wzrok jej stał się

Był to powrót po dwudziestu latach – wówczas, świeżo po wyjściu z jedynie słusznego systemu był krajem na dorobku, czy wręcz biednym.

Wtedy, po przekroczeniu granicy, na dziurawej drodze pojawiły się furmanki zaprzężone w małe zabiedzone koniki. Za nimi biegały hordy umorusanych (ale szczęśliwych) dzieci, stado psów o dość przypadkowym eksterierze i mnóstwo gęsi. Wszystko to na międzynarodowej drodze. Tak





zimny i stalowy. Samochód jadący przed nami stanął, więc i my zatrzymaliśmy się. Teraz sesja fotograficzna, po której misiek zasugerował mały napiwek, to znaczy od niechcienia machnął łapą w kierunku szyby auta. Przy okazji mogłem z bliska obejrzeć jego pazury – robią wrażenie. Z pojazdu przed nami poleciały w jego kierunku kanapki i owoce, którymi zaraz się zainteresował. Wśród ochów i achów ruszyliśmy do przodu. Po chwili ukazał się następny i jeszcze następny. Po piętnastym byliśmy już nieco znudzeni. Pewną odmianą były matki z młodymi, które pilnie uczyły się żebraczego fachu.

W pewnym momencie przed maską pojawiła się para młodych ludzi gwałtownie gestykujących, starając się zatrzymać auto. Po upewnieniu się, czy to nie Bony and Clyde, zapytałem się w czym rzecz. Okazało się, że nie mogą dotrzeć do swojego auta, bo na drodze siedzi niedźwiedź z dwójką młodych, o czym dowiedzieli się od jadącego z przeciwka kierowcy. Faktycznie, dwa zakręty dalej mama z dwójką dzieci pobierała myto. Parę kilometrów wcześniej wyprzedziliśmy rowerzystę – ciekaw jestem jak sobie dał radę.

W Rumunii występuje jedna z największych na świecie populacja niedźwiedzi w przeliczeniu na km². Do niedawna była intensywnie użytkowana łowiecko, podobnie jak np. na Słowacji. Biorąc pod uwagę duży wzrost ilości niedźwiedzi w Polsce, być może powinniśmy skorzystać z rumuńskich doświadczeń w zakresie gospodarowania tym gatunkiem.

Kolejną atrakcją naszej wyprawy była wizyta na Wesołym Cmentarzu w miejscowości Sapan-ta. Otóż parędziesiąt lat temu miejscowy rzemieślnik zrobił nagrobek w postaci drewnianej płaskorzeźby, obrazującej istotne chwile z życia nieboszczyka. Całość pomalował w jaskrawe kolory. Przez następne dziesięciolecia powstawały tam nagrobki w tym duchu. I tak, na jednym widzimy górnika z zapalem fedrującego ścianę, inny to scena z życia (a raczej śmierci) dzielnego kierowcy, co to zginął w wypadku, czy wreszcie portret doskonałej żony i gospodyni



domowej, przedstawionej w kuchni w otoczeniu garnków. Często jest motyw pasterza z owcami, jak również robotnicy leśni w wersji z siekierą lub piłą motorową. O ile u nas leśnicy lubią się portretować w trakcie sadzenia drzewa, to tu najokazalszy był nagrobek, na którym bohater trzymał nogę na świeżo ściętym pniu.

Mnie najbardziej zainteresowały nagrobki myśliwych. Na jednym z nich młodzieniec w schludnym zielonym uniformie w kapelusiku z piórkem na głowie, torbą przerzuconą przez ramię, na drugim dźwiga broń. W rękę trzyma toporek - wiadomo, od przybytku głowa nie boli. Nad głową, w ozdobnym wieńcu umieszczono sierp i młot – utensylia jednak mało myśliwskie. Być może spoczywa tu miejscowy działacz partyjny, który po pełnym wyłożeniu pracy dnia znajdował czas na relaks na łonie przyrody.

Inny przedstawia współczesną wersję legendy o św. Hubercie. Myśliwy serdecznie obejmuje stojącego obok jelenia, który jednak nie ma krzyża między tykami. Na nagrobku widnieje data 1976 – być może zadziałała tu cenzura polityczna. Całość u góry zwieńczona parą zwróconych do siebie gołąbków. Motyw z gołębiami występuje zresztą na większości myśliwskich nagrobków. Na kolejnych, myśliwi są przedstawieni bez innych symbolicznych czy pozamyśliwskich atrybutów.

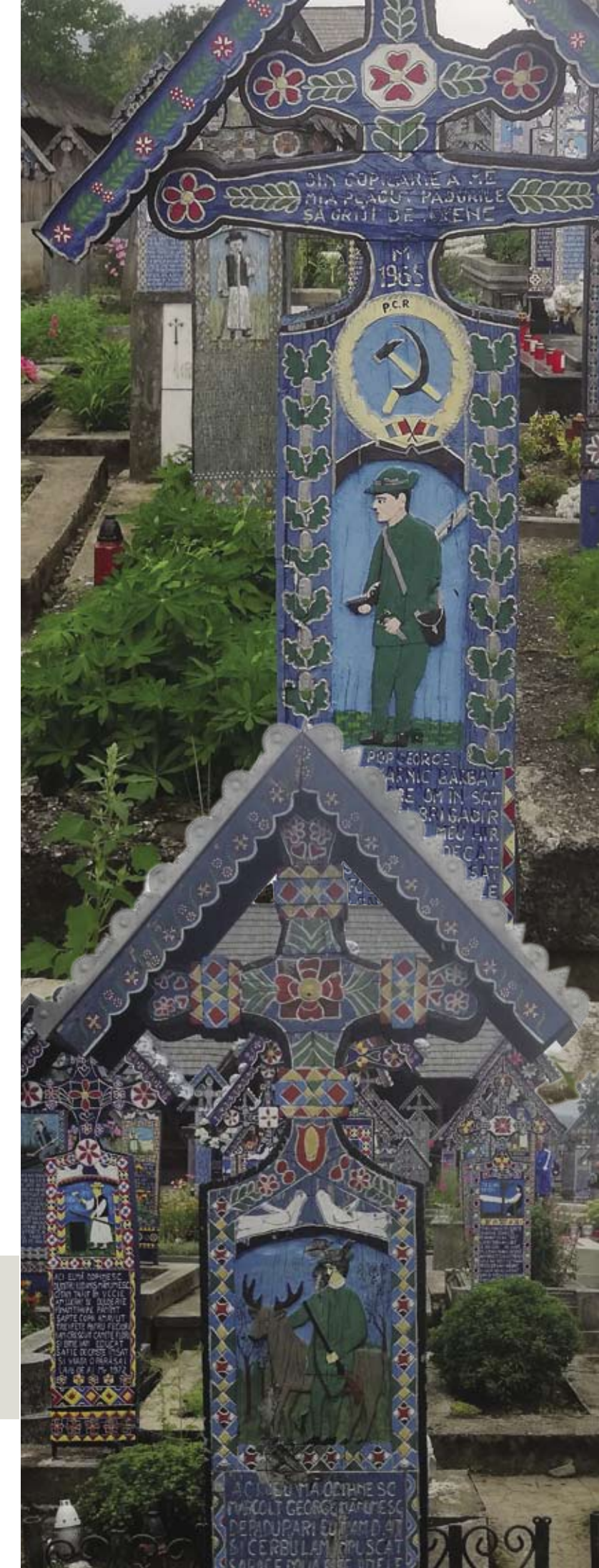
Zastanawiam się, czy u nas tego typu działania w sferze związanej ze śmiercią i pochówkiem znalazłyby akceptację w oczach społeczeństwa polskiego oraz czy to dowód na tolerancję czy tylko konserwatyzm poglądów. W Rumunii problemu z tym najwyraźniej nie mają, czego dowodem jest i to, że na straganie koło cmentarza kupiłem magnez na lodówkę w kształcie nagrobka, z wizerunkiem myśliwego.

Być może moje refleksje skłonią niektórych naszych myśliwych by teraz, gdy kierunek rosyjski, ze względów oczywistych, jest nieaktywny, zwrócić swoje zainteresowanie na Rumunię – ojczyznę dzikich Karpat.

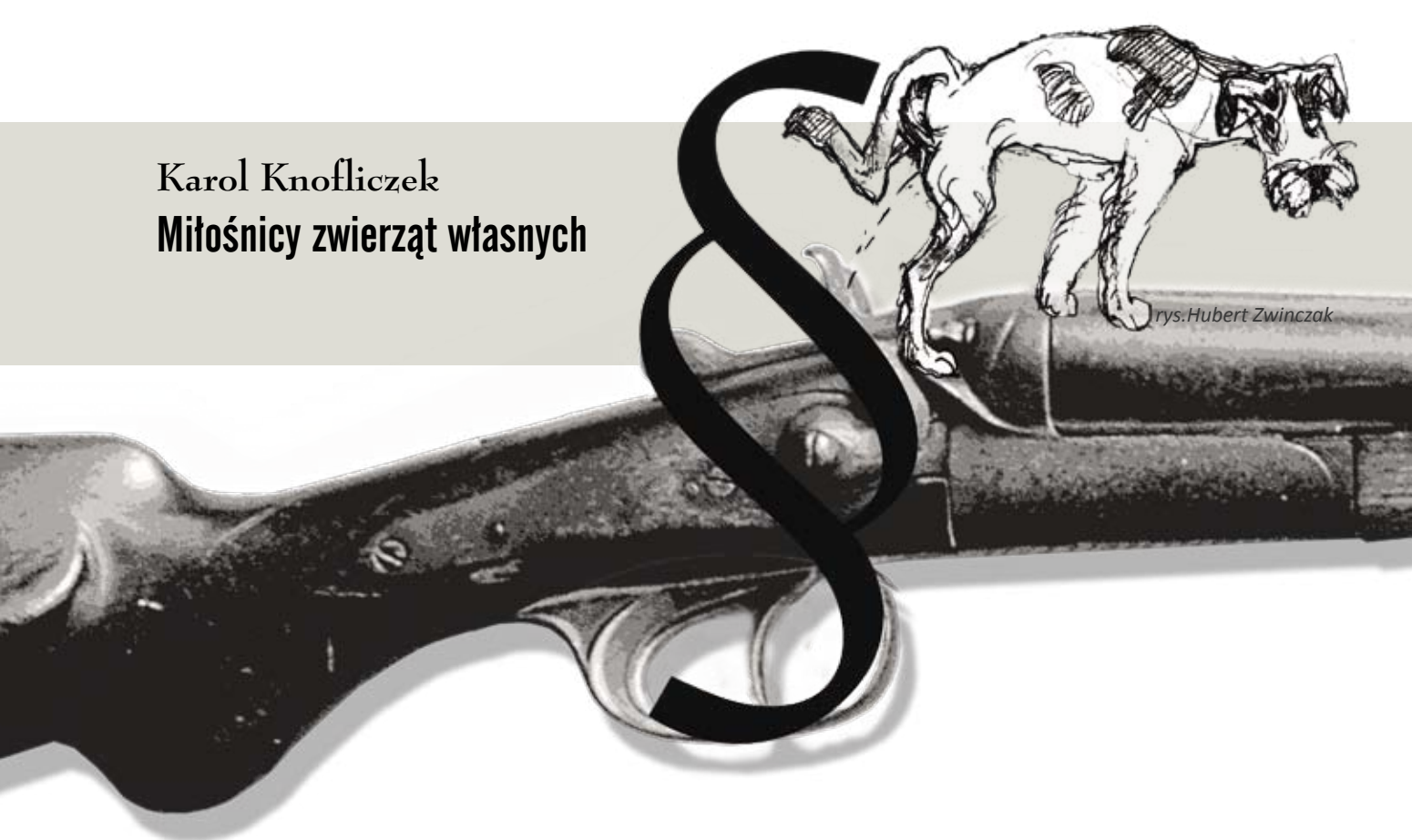
fol. autor



Hubert Zwinczak
artysta grafik, myśliwy



Karol Knofliczek Miłośnicy zwierząt własnych



Gdyby wśród Polaków przeprowadzić ankietę czy uważają się za miłośników zwierząt, najpewniej wszyscy udzieliliby odpowiedzi twierdzącej. Wszak to właśnie powszechna wrażliwość wobec innych istot, w połączeniu z niezrozumieniem celów i zasad łowiectwa, bywa często główną emocjonalną przyczyną negatywnego nastawienia do działalności łowieckiej w ogóle.

Niestety jednak nie wszystkie zwierzęta cieszą się takim samym stopniem rzeczywistej troski ze strony ludzi. Największą sympatią darzymy te, które towarzyszą ludziom od setek czy tysięcy lat (a przy tym nie traktujemy ich jako potencjalne źródło pożywienia), jak np. psy. To właśnie udomowieni dziesiątki tysięcy lat temu potomkowie wilków, są najpopularniejszymi towarzyszami gatunku ludzkiego, będąc częstokroć traktowanymi, jak pełnoprawni członkowie rodziny. Relacja pies - człowiek polega na obopólnej korzyści, i o ile kiedyś psy używano głównie do polowań czy ochrony domostw oraz inwentarza, obecnie sympatyczne czworonogi na ogół pełnią rolę – zgodnie z popularnym powiedzeniem – najlepszego przyjaciela człowieka.

Nie dziwi więc, że tzw. „przeciętny Kowalski” zapominał już, jakie pochodzenie ma jego milusiński i na ogół nie widzi (albo nie chce widzieć) w swoim pupilu zagrożenia dla innych zwierząt czy nawet ludzi. Przecież poczciwy i oddany swemu panu „Burek”, „Azor” czy inna „Punia” ma łagodny charakter i nikomu, ani niczemu nie zrobiłby krzywdy, a nawet jeśliby sobie pogonił jakąś sarnę lub zająca, to też nic wielkiego się nie

stanie. Z drugiej strony każdy właściciel chce dla swojego czworonoga jak najlepiej, zapewniając mu możliwość wybiegania i niezbędną przestrzeń.

Te wszystkie okoliczności tworzą isticie wybuchową mieszankę, a mianowicie w sezonie od wiosny od jesieni, zwłaszcza w czasie wysypów grzybów czy w miejscach turystycznych, w lasach można zauważyć zaskakująco dużo psów puszcanych luzem. Przecież skoro pan wyszedł odpocząć na łono natury, to jego pupilowi należy się to samo, tym bardziej, że to idealna okazja, aby w końcu porządnie się wybiegał.

Na polowaniach zbiorowych z naganką często mówi się, że „pies to jak pięciu ludzi”. I faktycznie coś w tym jest. Pies puszczone luzem znacznie głębiej penetruje łowisko i skuteczniej płoszy zwierzynę, aniżeli nawet kilku doświadczonych naganiaczy. Tyle, że polowania zbiorowe odbywają się stosunkowo nieczęsto, rzadko wielokrotnie w tym samym terenie, a przede wszystkim ich sezon przypada poza okresami godowymi zwierząt czy czasem odchowu przychowku.

Tymczasem psy puszcane luzem w okresie wiosennym czy letnim (kiedy to celowo ogranicza się ingerencję łowiecką w środowisko naturalne) stanowią istotne poważne zagrożenie dla zwierząt wolnożyjących. W jednej z publikacji pt. *Drapieżnictwo psów i kotów na zwierzętach łownych* (Studia i Materiały CEPL w Rogowie, R. 21. Zeszyt 59/2/2019) jego autorzy (Flis i Rataj) stwierdzili, że w latach 2009–2017 wskutek drapieżnictwa psów puszcanych luzem w lesie

w skali całej Polski ubytki w pogłowie saren wynosiły średniorocznie 9,6 tys. osobników (co stanowiło ok. 5–10% pozyskania łowieckiego). Jeśli zaś chodzi o zająca, to – uwzględniając również drapieżnictwo kotów – średnioroczny ubytek w analogicznym okresie wynosił aż 16 tys. (!) szaraków – co daje liczbę większą, aniżeli średnioroczne pozyskanie łowieckie. Zanotowano również upadki danieli, a nawet jeleni i dzików. Powyższe liczby obejmują „jedynie” stwierdzone przypadki zagryzienia, a pomijają inne aspekty i negatywne następstwa obecności psów puszcanych luzem na obszarach leśnych, jak np. przepłaszanie zwierzyny z jej ostoi, kolizje drogowe z uciekającymi zwierzętami, czy porzucanie potomstwa. W gruncie rzeczy nieznany jest bliższy rozmiar ubytków spowodowanych przez psy w populacjach zwierząt chronionych.

Prawodawca dostrzega ten problem i dlatego zgodnie z art. 30 ust. 1 pkt 13 ustawy o lasach, na terenach leśnych zabrania się puszczenia psów luzem. Co więcej, puszczenie psa luzem w lesie (poza czynnościami związanymi z polowaniem oraz ratownictwem i szkoleniem psów) jest wykroczeniem penalizowanym przez art. 166 Kodeksu wykroczeń, zagrożonym karą grzywny albo karą nagany. Pomimo faktu, iż powyższe przepisy obowiązują od dziesięcioleci, to jednak – jak się wydaje – problem narasta, a w niektórych obwodach łowieckich (zwłaszcza w weekendy w okresie wiosenno-letnim) ilość biegających po lesie psich czworonogów jest zaskakująco wysoka. Moje własne obserwacje pokazują, że niemała część właścicieli przebywających wraz ze swoim pupilami, nie tylko nie rozumie, dlaczego puszczenie psa luzem w lesie jest niedopuszczalne (na ogół nie dostrzegając szkodliwego wpływu swoich podopiecznych na bytującą zwierzynę), ale na prośby o prowadzenie psa na otoku – zwłaszcza ze strony myśliwego – reaguje pretensjonalnie, a nierzadko wręcz z oburzeniem.

Niestety obowiązujące przepisy prawa również nie pomagają, gdyż możliwości zwalczania problemu przez podmioty prowadzące gospodarkę łowiecką, której nadrzędnym celem jest ochrona zwierzyny i jej siedlisk, są wręcz iluzoryczne. Otóż zgodnie z art. 33a ust. 3 ustawy o ochronie zwierząt, dzierżawca lub zarządca obwodu łowieckiego może podjąć działania zapobiegające wałęsaniu się psów na terenie obwodu poprzez: pouczenie właściciela psa o obowiązku sprawowania kontroli nad zwierzęciem lub odłowienie psa i dostarczenie go właścicielowi, a jeżeli ustalenie tej osoby nie jest możliwe, dostarczenie do schroniska dla zwierząt (przy czym odłowienie i dostarczenie psa odbywa się na koszt właściciela). Odstrzał wałęsającego się psa jest co

do zasady niedopuszczalny, a konsekwencje takich czynu byłyby dla myśliwego oplakane (postępowanie karne, wydalenie z PZŁ). I o ile nie chodzi tutaj o to, by prawnie dopuszczalne było zwalczanie psów puszcanych luzem poprzez ich eliminację (co jest co najmniej dyskusyjne na gruncie zasad etyki łowieckiej, a przede wszystkim estetyki społecznej), o tyle konieczna jest dyskusja na temat wprowadzenia instrumentów prawnych, które zapewnią przestrzeganie zakazu puszczenia psa luzem w lesie, jak np. chociażby orzekanie obligatoryjnego przepadku psa lub jego równowartości, a w skrajnych przypadkach nawet zakazu jego posiadania przez lekkomyślnego właściciela.

Trzeba mieć jednak świadomość, że sama – nawet najsurowsza – kara nie wyeliminuje niepożądanego zjawiska puszczenia psów luzem w lesie. Dlatego uważam, że jako myśliwi, powinniśmy uświadamiać społeczeństwo na czym polega ochrona zwierząt (wszystkich, a nie tylko wybranych) i wyjaśniać, dlaczego uważający się za miłośników zwierząt i przyrody właściciele psów, powinni z troską i zrozumieniem potrzeb spoglądać, nie tylko na swojego chcącego się wybiegać pupila, ale również, a może przede wszystkim, na zwierzynę bytującą na danym terenie. Prawdziwy miłośnik zwierząt winien traktować równo wszystkie zwierzęta, bez premiowania własnego pupila.



Tablica informująca o zakazie puszczenia psów luzem w lesie, zainstalowana na prośbę myśliwych na terenie Nadleśnictwa Myślenice – przykład uświadamiania społeczeństwa o istniejącym zakazie puszczenia psów luzem



Karol Knofliczek
Miłośnik poznawania ojczyściej przyrody. Myśliwy KŁ „Luboń” w Lubniu od 2011 roku.
Adwokat, doradca podatkowy

Spis treści:

Łowieckie mądrości, czyli słów kilka o przysłowiacz myśliwskich Marek Wajdzik	3
Borsuk – inżynier zbiorowisk roślinnych Hubert Majchrzak	4
Korzystanie z lizawek solnych przez różne gatunki kanadyjskich zwierząt Paweł Kąkol	8
O szkoleniu psów myśliwskich słów kilka Ewa Dobrzyńska - Lankosz	14
Kłusownictwo w okręgu krakowskim Dariusz Knap	20
Z wyżłem na pardwy w szwedzkiej tundrze cz.II Zbigniew Ciemniwski	24
Jesień Rafał Łapiński	32
Wielki łowczy II Rzeczypospolitej Herman Knothe Waldemar Smolski	34
Kamczatka Adam Benedykt Bisping	40
Bekowisko Ryszard Adamus	46
Diana w grodzie Kraka Hubert Zwinczak	48
Jesień w Beskidzie Niskim Patrik Sikira	52
Jesienny epizod Mieczysław Mniszek Tchórznicki	56
Rumunia Hubert Zwinczak	60
Miłośnicy zwierząt własnych Karol Knofliczek	64



WYDAWCA

Zarząd Okręgowy
Polskiego Związku Łowieckiego
w Krakowie
ul. Żywiecka 12
30 - 427 Kraków
tel 12 634 25 34
e-mail: zo.krakow@pzlow.pl

REDAKTOR NACZELNY

Marek Wajdzik

REDAKCJA

Ewa Dobrzyńska-Lankosz
Roman Barbasz
Bogdan Kowalcze
Henryk Okarma
Wojciech Plewiński
Waldemar Smolski
Andrzej Tomek
Redaktor Graficzny
Hubert Zwinczak

stałe współpracują:

Ryszard Adamus
Rafał Łapiński

SKŁAD I ŁAMANIE

Hubert Zwinczak

DRUK

Drukarnia Standruk

Redakcja nie bierze odpowiedzialności za treść publikowanych materiałów i reklam, zastrzega sobie prawo nieodpłatnego publikowania nadesłanych artykułów oraz zdjęć, wraz z prawem do skrótów i opracowania redakcyjnego tekstów. Redakcja nie zwraca niezamówionych materiałów.

Zdjęcia na okładce:
Włodzimierz Puchalski str. 1
Patrik Sikora str. 2
Patrik Sikora str. 4

pasje

WROCŁAWSKI MAGAZYN EKOLOGICZNO-ŁOWIECKI



czytaj za darmo:

www.wroclaw.pzlow.pl/magazyn-pasje



